

artykuły i korespondencje, przeznaczone dla „Kraju”, powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przesyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie swraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biurowisko Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, „Kraj”, Warszawski Oddział „Kraju”, Marszałkowska 119.

Og. zb. № 1020

Petersburg, 18 (31) stycznia 1902 r.

Rok XXI. № 3

TREŚĆ N-ru 3 „KRAJU“

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuł wstępny: Z rozmyślań wiedeńskich, p. *Viator'a*.

Artykuły bieżące: Dziób hrabiiego-kancelerza, p. *T. Żuka*. Pod berłem pruskim. (Rzekomy okólnik ks. arcybiskupa. Proces p. Korfantego. Składki wrzesińskie). Którędy droga? p. *Józefa Mycielskiego*. Wezwanie do zgody. Pirogowski zjazd lekarzy, p. *d-ra W. Sawaniewskiego*.

Listy korespondentów „Kraju“: (Echa zachodnie): Z Berlina, p. *Gordona* i t. d. (Z miast i wsi). Z Wilna, p. *A. R. Z.* Z Kijowa, p. *Sama* i t. d.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. Przegląd prasy. Wiadomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Przegląd, przez *J. Mzurę*. Tydzień polityczny.

Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologia.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. Ogłoszenia.

DODATEK NADZWYCZAJNY.

Sprawy polskie w prasie europejskiej.

ŻYCIE I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: Z listu poety, p. *Cz. J. Dziwne losy*, p. *B. Feminizm*, p. *K. Waliszewskiego*. Współcześni. Matylda Serao, p. *Werygę*. „Siegfried” — w Paryżu, p. *Ar.* Obrazy Żmurki, p. *L. Sztuka dla ludu*. Teatry ludowe w Galicji, p. *Pelkę*. Telegraf bez drutu, p. *Alfa*. Ludwik Sliwiński, p. *M. Ar.* Język polski na kongresie w Petersburgu, p. *Ref.* Z chwili bieżącej: Polak w dramacie włoskim. Notatki naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. Nowe książki. Zawiadomienia.

Ilustracje: „Wesele” St. Wyspiańskiego na scenie krakowskiego teatru: Gospodarz i Rachel, Stańczyk i Wernyhora. Jan Reszke w roli „Siegfrieda” Wagnera. Pracownia Wł. Żmurki w Warszawie. Ujeżdżalnia w Krakowie. Brama główna pałacu cesarskiego w Pekinie. Otwarcie parlamentu przez króla Edwarda VII. Fotografie amatorskie: „Rozlew wiosenny”. Portrety: Matylda Serao. Jerzy ks. Czartoryski. L. Sliwiński. E. E. Repin. Portrety w „Kronice pośmiertnej”: A. Hertz.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Karty pocztowe. Noweleta na czasie, p. *W. Kosiakiewicza*. Eugenjusz Oniegin. Romans wierszem *Aleksandra Puszkina*, przekład *Leo Belmonta*. Rok 1809. Powieść historyczna, p. *Wacława Gąsiorowskiego*. (DC). Z cudzych łamów. Protest Zagłoby, p. *El. Miecz* i łokieć. Powieść z wieku XVII, p. *Wiktora Gomułickiego*. (DC). Drobizgi.

KARTA ALBUMOWA:

„Dusze nad Acheronem”, obraz *A. K. Hiremy-Hirschla*.

Do dzisiejszego N-ru „Kraju” dołączoną jest **Karta Albumowa**, przedstawiająca obraz *A. K. Hiremy-Hirschla*: „*Dusze nad Acheronem*”.

Z ROZMYŚLAŃ WIEDEŃSKICH.

Niech sobie co chcą mówią, ta stara stolica chorej, rozbitej, lekceważonej przez świat cały Austrii nie postradała dawnych powabów. Uboższa, cichsza, mniej wygodnie urządzona, niż Berlin, cieszyć się mimo to będzie po wszystkie czasy tysiącem skarbów, które nabywała w wiekach średnich, a następnie w okresie Eugenjusza Sabaudzkiego, w okresie Marji-Teresy, w okresie kongresu wiedeńskiego, a których nie nabędzie już nigdy miasto, rozpoczynające wielką karierę dopiero na schyłku w. XIX.

Wiedeń dumny będzie zawsze ze swego gotyku i swego baroku, ze swych Tycjanów, Tintorettów i Rubensów, dumny z tej żywej tradycji dawnych przepychów, która po dzień dzisiejszy przebija się w pewnej gładkości form, w pewnej wykwintności ruchu ulicznego, w pewnej dworskości, przenikającej tu całe rzesze ludu, a nieznaniej w tym samym stopniu mieszkańcom stolicy Prus.

Niema tu ani kolei, tak przecinającej sam środek miasta, jak kolej miejska w Berlinie, ani tego ruchu wielkomięskiego, który tam kipi do pierwszej po północy, ani tych olbrzymich obrotów handlowych, ale jest za to atmosfera, przesiąknięta pierwiastkami historii i sztuki i sprawiająca, że niejednemu z nas milej jest włożyć się nocą po pustych Ringach, okolonych fantastycznymi olbrzymami architektury o stylowych konturach, niż po wrzaskliwej Friedrichstrasse, pełnej gawiedzi, głośnych conceptów, malowanych wdzięków, roznosicieli ogłoszeń, schutzmannów i szturchańców.

Po Trzech Królach polityka wraca w swe prawa. Komisja budżetowa obraduje od ósmego stycznia. W kawiarniach, w których bywają polacy, spotyka się już często posła zatopionego w gazecie. Wielki dylemat wchodzi znowu na porządek dzienny.

Uda się, czy się nie uda?

Jedno z dwojga stać się ostatecznie musi. Albo parlament udowodni czynem, że, wbrew wszelkim przepowiedniom, potrafi odnaleźć w sobie ukryte siły żywotne i zdoła się na uchwalenie budżetu, ugody z węgry, traktatów handlowych, a nawet funduszków na nowe uzbrojenia, — albo też funkcje władzy prawodawczej obejmie w Austrii jakiś inny organizm polityczny. Pytanie to rozstrzygnie się niebawem. Właśnie teraz najlepsza pora do robienia zakładów.

O zamachu stanu przebąkiwano w Austrii nieraz. P. Koerber pierwszy pogroził nim wyraźnie. I, o dziwo! ledwie się rozległ ten strzał alarmowy, skutki okazały się natychmiast. P. Koerber zjednoczył przeciw sobie na krótką chwilę wszystkich. Kto w Boga wierzy, zaczął mu dowodzić, że do rozpędzania Rady państwa niema najmniejszego powodu, że parlament pracuje tej zimy tak pilnie, jak nigdy, że ciężką bierze na swe sumienie odpowiedzialność, kto się z takimi pogrozkami niepotrzebnie wyrzywa.

Rozrzewniająca była to jednomyślność. A w zgodnym tym chórze nie brakło czasem nuty komicznej. Od iluż to lat czytaliśmy w pismach konserwatywnych, wydawanych we wszystkich językach wielojęzycznego państwa, że parlamentarizm skończył wraz z innymi ideałami liberalizmu, że rządy mogłyby jeszcze ocalić sytuację, gdyby umiejętność rządzenia nie była zaginęła zupełnie, że rząd, który tknięty jest skazą słabości, dźwiga na sobie tem samym brzemieniem największej winy?

Wtem stał się cud.

P. Koerber powiedział, że nie myśli żartować, i konserwatyści prze-

rzeli. Dzienniki konserwatywne odezwały się chórem, że parlament wcale nie jest tak chory, jak się napo-
zór zdaje, że prawdziwa umiejęt-
ność rządzenia zasadza się na cier-
pliwości, że zamach stanu nie byłby
wcale dowodem siły.

Zmiana ta nie jest zjawiskiem za-
gadkowym. Konserwatyści przysta-
liby na zamach stanu, ale pod wa-
runkiem, że zamachu tego dokona
jakiś graf styryjski, jakiś książąt-
ko czeskie. Któż mógł jednak przy-
puszczać, że takiego czynu gotów
się podjąć jakiś tam sobie Koerber.
Gdy wielcy panowie rozgania-
ją parlament, można odgadnąć, ja-
ki porządek zaprowadzą natomiast:
ale któż przewidzi, jakie będą dal-
sze kroki takiego urzędnika?

W tem samym mniej więcej po-
łożeniu znajdują się wszystkie stron-
nictwa. Każde wie, jaka jest sytua-
cja dzisiejsza, żadne nie wie, jaki
ustrój otrzymałaby Austria po wiel-
kim przewrocie. Do pewnego stop-
nia każde się boi. Uczucie to owla-
da parlamentem. «*Nasze korpus*
w strachu» — powiedziałby Franci-
szek Zabłocki.

Jeżeli się uda, jeżeli pesymiści
zakład przegrają, jeżeli parlament
uchwali i budżet, i ugode, i trakta-
ty, i pożyczkę na nowe działa, to
ta obawa okaże się czynnikiem nie-
zmiernie higienicznym.

Timor domini initium sapientiae.
Czegóż się panowie postowie le-
kają? Galer? Kopalń? Wagnania?

Panowie postowie, a przynajmniej
część ich znaczna, lekają się gło-
sowania powszechnego.

A nuż! A nuż w Koerberze sie-
dzi jakieś lichy, które sprawi, iż
ten minister, pogrzebawszy konsty-
tucję dzisiejszą, nada Austrii ordy-
nację wyborczą, podobną do tej, ja-
ką Bismark nadał cesarstwu nie-
mieckiemu? Parlament dzisiejszy,
parlament stanowy, klasowy, za-
wdzięczający żywot kurjom wybor-
czym, wie, że utraciłby trzy czwar-
te swych dotychczasowych człon-
ków, gdyby obierano posłów przez
głosowanie powszechne.

Nie wszystkim stronnictwom gro-
ziloby w takim razie niebezpieczeń-
stwo jednakowe. Socjaliści, antyse-
mici wszelkiej narodowości, rady-
kalni demokraci odnieśli by z tej
zmiany korzyść ogromną. Wygrali-
by na tem katolicy niemieccy w kra-
jach alpejskich, wygraliby rusini.
Zniknęłaby natomiast całkowicie
z ław poselskich szlachta czeska,
zniknęłaby z nielicznymi wyjątkami

i szlachta niemiecka, liberalizm nie-
miecki przerzedziłby się niesłycha-
nie, narodowcy niemieccy oddaliby
kilka mandatów socjalistom, a mło-
doczesi podzieliłoby się swemi man-
datami z tłumem nieznanym dziś
światu radykałów i krzykaczy. Ko-
ło polskie zdemokratyzowałoby się
bardzo znacznie.

Ale najważniejszym następstwem
reformy byłby wzrost żywiołów sło-
wiańskich w parlamencie. Dzisiaj-
szy podział na kurje zapewnia
szlachcie niemieckiej i miastom nie-
mieckim osobną reprezentację w pa-
rliamencie, w których ogół ludu wiej-
skiego i ogół masy robotniczej jest
słowiański. Po reformie, wszystkie
te mandaty niemieckie utonęłyby
raz na zawsze w oceanie słowiań-
skim.

Byłoby to piękne i ładne, i może
dla Austrii korzystne, ale że żadna
grupa poselska nie jest ostatecznie
pewna, jakby po reformie wygląda-
ła, więc strach jest niemały.

P. Koerber wie o tem, i to mu
dodaje otuchy.

Viator.

DZIÓB HRABIEGO-KANCLERZA.

«Nikt polakom nie prze-
szkadzaj mówić tak, jak im
dziób wyrósł».
(Hr. Bülow w sejmie pruskim).

Hr. Bülow jest bardzo dowcipny,
a przytem przedziwnej wytworności
pełen i zdumiewająco dobrego sma-
ku. I dowcip, i wytworność, i smak
dobry ma w najprzedniejszym ber-
lińskim gatunku. Jest najdoskonalszym
wykwitem pruskiej elegancji,
berlińskim *swell* w każdym calu:
wzięcie się ma wyszukanie wielko-
pańskie, oglądę olśniewająco wiel-
koświatowa, ubranie od najlepszego
krawca, a głowę... *herrschaftlich*
hochfein möblirt. Światowca z tak
zdumiewającym nadmiarem niesły-
chanej wykwintności Berlin nie znał
dawniejszymi czasy.

Dawniejszy ideał berlińskiej wy-
tworności: junkier buńczuczno, gbu-
rowato rubaszny, zaginał od osta-
tnich strzałów, które padły z mu-
rów kapitulującego Paryża. Ofice-
rowie zwycięcy, którzy marszem
tryumfalnym wiodli pruskie pułki
po pod Łuk tryumfalny, wzdłuż
pół Elizejskich, na plac Zgody, byli
protoplastami przeobrażonego prus-
kiego ideału. Dumnie i buńczucznie
krzesali obcas o bruk paryzki, ale,
piersz wydymając i lydki preżąc, sznu-
rowali już usta w paryzki uśmiech,
rozumiejąc, że z bulwarowym po-
kostem będzie im niezmiernie do
twarzy. Pokost sprawił w Berlinie

furorę: bohaterowie nie tylko szmat-
ziemi zdobyli i miljardy, ale i ten
niezrównany szyk paryzki, o któ-
rym tylokrotnie czytano w gazo-
tach! Nie ulegało już wątpliwości, że
prusacy są «pierwszym narodem
świata»; cóż dziwnego, że kwiat te-
go narodu zapragnął polotem swym
przyćmić wszystkie inne nacje? W tym
celu, dla wszelkiego bezpieczeń-
stwa, wchłonął jeszcze w siebie, co
z przymiotów angielskiego gentle-
mana dostępne było dla pruskiego
smaku: chłodny spokój, zaasymilo-
wany nad Sprewą pod postacią kol-
kowanej sztywności operetkowego
«lorda». I tak powstał nowożytny
berlińczyk wytworny: «lord» bran-
denburski, który do rodzimej pospoli-
tości i nadejścia przypisał, jak «bukiet
do kozucha», pretensje do fran-
cuzkiej swobody i lekkości, i do pa-
ryzkiego dowcipu. Ani się spo-
strzegł odcieżyły niedźwiedz heraldy-
czny brandenburski, jak mu zangli-
zowano ogon, a na czubie przy-
pięto grzebień galijskiego koguta.
I odtąd grzebień ten i ogon przeży-
dumnie, z wrodzonym niedźwie-
dziom wdziękiem i ze swobodą wy-
pchanego pawia.

Ze ideał berlińskiej wytworności
nie cieszy się podziwem powszech-
nym, winne temu dawne arystokra-
tyczne zabobony, nowe demokra-
tyczne uroszczenia i wieczyste uprze-
dzenia artystyczne: wszystkie żada-
ją, by wytworność była ujawnie-
niem zalet wewnętrznych; berlińska
zaś jej odmiana tę ma właściwość,
że pyszałkostwo jest jej znamie-
niem, a treścią zewnętrzną skorupa,
wrastająca czasem więcej lub
mniej głęboko w skórę berlińskiego
«gentlemana». Nie poznaje się jej,
jak w innych krajach, przez obco-
wanie dłuższe; dostrzega natomiast
zdala, jak błyszczący oficerski mun-
dur, który się przywdziewa, lub
wieszka na kółku. Na sto kroków
widać, który berlińczyk jest «wy-
twornym», a który niedziałką po-
spółstwa: uczonym, artystą, mie-
szczańskim filistrem, lub, strzeż Bo-
że, «prostym» robotnikiem. Powło-
ka tej wytworności powtarza się
szablonowo: wdzięk symbolizują no-
gi drobnymi podrygami; godność
— tułów sztywnie nieruchomy, jak-
by (po połknięciu trzech lasek)
paraliżem tknięty od karku po bio-
dra; a dowcip — leniwie pogar-
dliwy uśmiech. Duchowa strona
tej areypruskiej wytworności jest
dziwnej prostoty: ogranicza się
do wtórowania zewnętrznej ma-
sce w ujawnianiu niewzruszonej
pewności siebie i świadomości, że
się jest istotą wyższą, prosto
doskonałą, raczącą się poniżej
względem istot innych do dobrotli-
wego lekceważenia. «Laitnant» cel-
ten osiąga przez leniwe cedzenie

wyrazów ciętych przez na pół za-
sznurowane usta, minister—czy mu
Rheinbaben, czy v. Podbielski —
przez cięte drwinki, cedzone z mi-
nisterjalnej ławy.

A wszystkich tych wytworności
najwyższym arbitrem i najdoskonals-
szym wcieleniem jest sam pan kan-
clerz Rzeszy, hr. Bülow.

Stwierdzenie tego faktu potrzebne
nam jest podwójnie. Najpierw oświe-
tla genezę tego tak mile dobrotli-
wego dowcipu, z którym hrabia-
kanclerz «nie przeszkadza polakom
mówić tak, jak im dziób wyrósł»;
powtóre, rozwiewa wszelkie wąpli-
wości, czy wyrażenie «dziób» jest
dość wykwinne, by je zastosować
do różowych usteczek dorodnego
hrabiego. Jest niem niewątpliwie.
Wytworny hrabia-kanclerz wie oczy-
wiście najlepiej, że zuchwałę słowo
przystoi poniekąd temu, kto się ima
debellare superbos, ale hańbi usta, co
urągają niem poniżonym. Hrabia-
kanclerz nie zawahał się mówić o
«dziobie» bitych i więzionych, *ergo*
«dziób» jest wyrazem wysoce sala-
nowym: przypatrzmy się dziobowi
hrabiego kanclerza.

Zadanie to tem wdzięczniejsze,
że hr. Bülow dziobowi właśnie za-
wdzięcza wysokie swe dostojństwo.
Rzeczywistego kanclerza Wilhelmo-
wi II nie potrzeba. Nie ścierpiał
Bismarka, nie ścierpiał Capriviego,
ks. Hohenlohe natomiast przypadł
mu do gustu. Kanclerz ten niemo-
wa byłby dlań kanclerzem idea-
lnym, gdyby Wilhelm II mógł sam
przemawiać w Reichstagu. Gdy to
niemożliwe, monarcha niemiecki
upatrzył sobie hr. Bülowa, który
tem się różni od swego poprzednika,
że ma dziób łatwo szczebiotliwy.
Zresztą nie się nie zmieniło: u ste-
ru stoi, jak stał, sam cesarz, a
w Reichstagu, jak na okręcie,
wzbroniona jest ze sternikiem roz-
mowa. Więc cesarz steruje, a kan-
clerz mówi. Mówi nawet bardzo pię-
knie i gładko, objaśniając panów
posłów z biegłością wygadanego
cicerone, czemu statek idzie na
prawo, gdy sterem zakręcić na
lewo, i ostrzegając, że są ta-
kie rury i śrubki, których doty-
kać nie można, bo pękłyby cały ko-
ciol!

Trzeba hr. Bülowa widzieć, jak
zwolna dźwiga się ze swego karła,
prostując swą pulchną i strojną fi-
gurę, zadziera swą różową, okrą-
glutką, wymuskaną i uśmiechniętą
główkę, lewą rękę kładzie w kie-
szeń, a w prawą ujmuje kościany
nożyk i rozpoczyna swą dowcipną
gawędę. Na patos się nie porywa,
lubi natomiast baraszkujeć. Drwin-
ki jego nie tyle są złośliwe, co
dobrodusznie lekceważące, bardzo
lekceważące. Pragnie robić wraże-
nie, że nie zniża się do znęcania

nad przeciwnikiem jedynie dlatego,
że taki wyniosły jest i wytworny!
Tam, gdzie p. Studt bywa bez wy-
silku grubiański, a p. Rheinbaben
z udaniem junactwem zuchwały, hr.
Bülow uśmiecha się wyniosłe, wy-
glądza uszczypliwe słowa i dziobie
niemi przeciwnika, udając, iż mu
wielec przykro, że mu tak czynić
nakazuje ciężki jego kanclerski obo-
wiązek. Do tego obowiązku ma wiel-
ką słabość i lubi o nim mówić, jak
tenor, któremu się zdaje, że on
stworzył operę, skoro w niej zbiera
oklaski. Próbował nawet przy-
słaniać swą osobą i osłaniać kom-
pozytora-cesarza: «Póki ja jestem
kanclerzem, ufajcie panowie, że tak
będzie, nie inaczej!» A Wilhelm II,
wiedząc, że tak będzie zawsze, jak
on sam zechce, za złe mu tego nie
brał: niech sobie daje z Izba radę,
jak umie!

I zaprzeczyc się nie da, że hr.
Bülow daje sobie radę z Izba nie-
miecką wybornie. Mówi tak, «jak
mu dziób wyrósł», a dziób ten nie-
tylko świargocze wyniosłe i wy-
twornie, ale wytworność jego, na
wskroś pruska, budzi echo w każ-
dej pruskiej duszy. Dziób ten jest
z brandenburska zarozumiaty... dy-
skretnie, i po berlińsku buńczucz-
ny... dyplomatycznie; ale zarozumia-
ły jest i buńczuczny, i mimo wy-
twornie dyplomatycznej pozy, istic
pruska pyszałkowatość stanowi *Leit-
motiv* jego śpiewu. Hr. Bülow nie
wygłasza naiwnych przechwałek, ale
przyjmuje je, jako pewniki. Zarozu-
miałość pruska wrosła mu tak w na-
turę, że w wywodach swoich opiera
się bezwiednie na następującem ro-
zumowaniu. Przesłanka: prusacy są
pierwszym narodem świata. Wnioski:
prusacy przewyższają inne narody
na wszelkich polach; co pruskie—
to dobre; co dobre—to pruskie.
Przytaczając słowa Napoleona I, hr.
Bülow przypisał je Fryderykowi
Wielkiemu. Dziwiono się pomyłce;
raczej dziwiłoby się należało, gdyby
kanclerz pomyłki tej nie popełnił,
bo hr. Bülow, jako typowy prusak,
bezwiednie czyta «Fryderyk Wiel-
ki», gdzie napisano: «Napoleon I».
W tym wypadku omyłkę spostrze-
zono łatwo, ale pomyłki analogiczne
znajdują się w każdym wierszu
kanclerskiej mowy, czy chodzi o
prawdy historyczne czy moralne.

Słowiczy dla pruskiego ucha dziób
kanclerski wydaje głosy, które za
granicami Prus brzmią mniej uro-
czo. Dzieje się to skutkiem prawdy,
którą francuz zamknął w przysło-
wiu: «trudno cały świat zadowolnić
i swą ciotkę». Ciotka pruska za-
chwyca się milem świargotaniem,
ale zachwyty ten okupiło przyszło pa-
rokrotnie kompromisami z przed-
miotowej prawdy wymogami. Nie
mniej one bez więcej lub mniej do-

sadnej odprawy, która w plebej-
skich ustach p. Chamberlaina przy-
brała nawet formę dość brutalnego
utarcia świargotliwego dzioba...

Niepowodzenia te nie pozostały
pewno bez wpływu na «wielką» an-
typolską mowę kanclerza. Polacy
wiele mają przywar; jednej jednak
zalety nikt im nie odmówi: że są
wręcz nieocenieni, jako temat do
krasomówczych popisów pruskich
meżów stanu! Na ich grzbiecie p.
Rheinbaben udowadnia swą dziel-
ność i odwagę, dzięki im p. Studt
stał się reformatorem pedagogji, oni
natchnęli p. Schoenstadta w wynal-
czeniu nowej teorii wymiaru spra-
wiedliwości, a p. Hammersteinowi
dostarczyli podstaw do wywrócenia
prawideł logiki. Czemużby i hr. Bü-
low, który wolnym truchtem wje-
chał w nieprzyjemną kalużę, nie
miał osiągnąć rumaka, na którym
bez trudu cwałuje się na zawrotno
wyziny?

I dowcipny i wytworny hr. kan-
clerz poczuł zar w sobie straszny,
poczuł się srogim niemieckim me-
żem i bismarkowskim dziedzicem.
«Zartów nie zna», nawalę polską
odeprze, «ideały niemieckie» przed
barbarzyństwem osłoni, zwyciężyć
się nie da najeźdźcom o polskich
dziobach i niemiecką zachowa, tę
rdzennie niemiecką ziemię, którą
Hohenzollerni odziedziczyli po Po-
pielsburgach i Piastensteinach!

«Wielka» mowa hr. kanclerza
miała treść poważną, a formę bojo-
wej pobudki. Treść: zapowiedź dal-
szych przesładowań, troskę w pola-
kach wzbudzić może; pobudka trwo-
gą ich nie przejmie. Juściż, wola-
jąc do pięćdziesięciu milionów, ni-
kogo prócz Boga nie bojących się
niemców: «trzymajmy się! nie daj-
my się!», nie chciał kanclerz dodać
im odwagi w walce z garstką cie-
miężonych polaków. Ale tych pola-
ków skruszyć miała kanclerska wy-
mowa widmem krucjaty wszystkich
niemców, zjednoczonych przeciw nim
w potężną bojową falangę. Zapow-
iedź dalszych przesładowań napel-
nia ich troską, to pewna; ale retory-
czne straszaki—niech wymowny i
wytworny hr. kanclerz daruje—to
strachy na lachy! Pysznych pogró-
zek nadużywano nieco w ostatnich
czasach w eks-stolicy «bojaźni Bo-
żej i dobrych obyczajów»: niejedno
szumne «zdruzgotanie» okazało się...
higienicznym masażem. Polacy pa-
miętają, że niejedyn dziób—a w ich
liczbie «żelazny»—na nich się po-
szczybił i niejedne pokruszyły pa-
zury. Wytworny dziób hrabiego kan-
clerza jest bardzo straszliwy w swej
wymowie, ale nie zawsze ostateczne
zwycięstwo zależy od przeraźliwej
dziarskości pobudki.

Bywały pobudki bez buńczucznych

przechwałek i druzgocących zapowiedzi:

„Słysz modlitwy jenże cię prosimy:
To dać raczy jego prosimy:
Daj na świecie zbożny pobyt“...

Tak między Grunwaldem a Tanenbergiem modliły się do Bogardzicy chorągwie Zyndrama z Maszkowic i Witoldowe zastępy.

T. Żuk.

POD BERLEM PRUSKIEM.

Rzekomy okólnik ks. arcybiskupa.

Dzienniki hakatystyczne, a za nimi cała prawie prasa niemiecka, — doniosły, iż ks. arcybiskup Stablewski wystosował do podwładnego mu duchowieństwa odezwę następującej treści:

1) Duchowieństwo polskie ma uwzględnić wszelkie życzenia Niemców-katolików. 2) Duchowieństwo nie powinno się mieszać do wewnętrznych spraw szkolnych, a starać się natomiast o uzupełnienie wiadomości dzieci w zakresie religii przy nauce przygotowawczej do Sakramentów Św. 3) Duchowieństwo polskie nie powinno pisywać do dzienników polskich, podjudzających przeciw rządowi, lecz jedynie do takich, które są wierne królom. 4) Księża polscy nie powinni zwolnować wieców polskich lub występować na nich jako mówcy.

Odezwa ta miała zostać wydana wskutek zażalenia rządu pruskiego w Rzymie na duchowieństwo polskie.

Łatwo pojąć, jakie wrażenie wywarła wieść o tym okólniku w Wielkopolsce. Wraz atoli ukazało się formalne zaprzeczenie ks. kapelana Łukowskiego, sekretarza ks. arcybiskupa. Okólnik został sfalszowany.

Hakatyzmowi nie wystarczają zatem te środki, jakich dostarcza mu powolny rząd hr. Bülowa. Ima się innych, polegających na kłamstwie i fałszu. Próbuje zakłócić rozdzwiękiem tę harmonję, jaka panuje między duchowieństwem a społecznością wielkopolską.

Z powodu stanowczego zaprzeczenia ks. sekretarza arcybiskupiego, wroga polakom prasa wylewa potoki jadu na arcybiskupa gnieźnieńskiego. «Deutsche Ztg.» przypomina, iż ks. Stablewski już w r. 1873, gdy był nauczycielem szkolnym, wzbraniał się nauczać religii w języku niemieckim. Później należał do tych posłów polskich, którzy za czasów Bismarka uchylili się od stwierdzenia swej lojalności względem państwa pruskiego. Ks. Stablewski, według organu wszechniemców, jest wrogiem państwa pruskiego nie tylko jako polak, ale również, jako posłuszny sługa nieprzyjaźni dla Niemczyzny usposobionego Watykanu.

Proces p. Korfantego.

Niedawno hakatysty sejmowi wzywali rząd do przesładowania prasy polskiej. Proces p. Wójcicha Korfantego i wyrok, wydany przez trybunał poznański, dowodzą, iż ów *Wink von Oben* nie obył się o uszy sędziów pruskich bez echa.

Przed sądem poznańskim stawał w ubiegłym tygodniu p. Wójciech Korfanty, redaktor «Górnoszlązaka», oskar-

żony o umieszczenie w tygodniku «Praca» dwóch artykułów, mianowicie «Odezwy do moich braci górnoślążaków» i «Do Niemców», a w których to artykułach władze dopatrzyły się zamiaru podburzenia ludności do gwałtów.

P. Korfanty jest przedstawicielem tej najnowszej, nielicznej dotychczas, młodzieży szląskiej, która, odebrawszy wyższe wykształcenie w zakładach naukowych niemieckich, pozostała mimo to wierną swej narodowości. Ojciec jego jest zwykłym górnikiem, matka — włościanką szląską. Chłopiec piechotą chodził z chaty ojcowskiej codziennie do gimnazjum, odległego od wioski rodzinnej o godzinę drogi.

Jako drugi oskarżony stawał równocześnie przed kratkami sądowymi p. Jan Kamiński, redaktor odpowiedzialny «Pracy».

P. Korfanty nie tait się wcale, iż napisał wspomniane artykuły. Interesujące było ich omówienie. Powtarzamy je za sprawozdawcą «Kurjera Poznańskiego».

Przewodniczący pyta, co oskarżony rozumie przez „brutalność pruską“.

Oskarżony: Wydalono mnie z gimnazjum na skutek denuncjacji żandarma, iż rzekomo uprawiam agitację wszechpolską.

Przewodniczący: Czy pan brał udział w agitacji wszechpolskiej?

Oskarżony: Czytałem polskie książki.

Przewodniczący: Czytanie polskich książek nie może być uważane za agitację. Co oskarżony rozumie przez pozbawianie robotników polskich praw przyrodzonych?

Oskarżony: Robotników polskich wydalono za to, że należą oni do towarzystw polskich.

Przewodniczący: Jeżeli robotników, posiadanych o agitację, wydalają, to dlatego, że chcą mieć robotników spokojnych.

Oskarżony: Robotnicy, którzy należeli do towarzystw polskich, są ludźmi spokojnymi.

Na zapytania przewodniczącego, czy oskarżony był świadomy winy, i czy wiedział, że Niemców obraża, p. Korfanty odpowiada, że nie, bo ostre jego słowa nie były skierowane przeciw Niemcom wogóle, lecz wyłącznie przeciw szowinistom niemieckim, co we wstępie artykułu zaznaczył.

Mowa prokuratora była charakterystyczna. Nie mógł zarzucać p. Korfantemu, iżby tenże przytaczał fakty nieprawdziwe. Uznał atoli, że zestawienie ich i wyprowadzenie wniosków miało tendencję podburzającą. Z tego względu prokurator zażądał dla p. Korfantego czterech miesięcy więzienia, zaś dla p. Kamińskiego, jako odpowiedzialnego redaktora «Pracy» — dwóch.

Po gorącej obronie mecenasa Celichowskiego, głos zabrał sam oskarżony. Stwierdził, że podane przezeń fakty ucisku i przesładowania narodowości polskiej na Szlązku i w Prusach są autentyczne. Gdyby mógł za świadków powołać całą ludność polską od Mysłowic do Pucka, toby każdy prawdziwość tych faktów mógł poprzysiąc, i nowych takich faktów przytoczyć tysiące. Hakatystyczne pisma napadają w sposób bardzo gwałtowny na ludność polską — w nich to przedewszystkiem należy szukać podburzenia do gwałtów i pociąganie do odpowiedzialności. Konstytucja pruska zezwala na krytykę postępowania urzędników, on zatem, autor owych artykułów, nie dopuścił się żadnego czynu karygodnego.

Przemówienie p. Korfantego, wygło-

szone z wielką swadą i siłą przekonania, uczyniło na wszystkich obecnych silne wrażenie. Tem niemniej sąd okazał się powolnym narzędziem obecnego systemu politycznego pruskiego i zasądził oskarżonych na żadaną przez prokuratora karę. Nie zgodził się nawet na tymczasowe wypuszczenie p. Korfantego na wolność za kaucją, którą wydawca «Pracy», p. Biederman, ofiarował się natychmiast złożyć w kwocie pięciu tys. marek, lecz nakazał niezwłoczne uwięzienie skazanego.

Wyrok był okrutny. Był również niemądry. Rząd pruski zapomniał o przestrodze słynnego męża stanu francuzkiego:

— Nie róbcie męczenników!

Składki wrzesińskie.

Składki na ofiary wrzesińskie zostały z dniem Nowego Roku zamknięte cyfrą 120 tys. marek. Większość dzienników zawiesiła już przyjmowanie datków, ponieważ złożona suma odpowiada w zupełności potrzebom. Obecnie ujawniła się różnica zdań, w jaki sposób najwłaściwiej będzie użyć zgromadzonego kapitału.

Poznański «Orędownik» pisze z tego powodu: «Jeżeli po dostatecznym zaspokojeniu potrzeb dzieci i zasądzonych rodzin we Wrzesni, pozostanie jeszcze jakieś znaczniejsze kapitałik, to najprostszą będzie rzeczą, gdy komitet przeznaczy ten kapitał na zasądzonych gimnazjastów. Ze obszerniejszą dyskusją w tej sprawie nie jest na miejscu, to dla każdego jest zrozumiałe. Dlatego też godzimy się w zupełności na propozycję mecenasa Wolińskiego, wyrażoną w «Kurjerze Pozn.», żeby nie prowadził obszerniejszej dyskusji i kwestję zdysonowania zebranych funduszy pozostawił komitetowi. Komitet poznański jest też właśnie na to powołany, i na nim ciąży odpowiedzialność za rozporządzenie zebranych funduszy wobec całego narodu.

Skład jego jest taki, że naród może mieć do niego zaufanie, a on sam może się też z odpowiedzialności swej sumienia i dobrze wywiązać.

G.

KTÓRĘDY DROGA?

[Od hr. Józefa Mycielskiego, jednego z najwybitniejszych obywateli w Poznaniu, odbieramy następującą uwagę o położeniu polskości w Prusach].

W chwili, gdy się odzywają głosy, zapowiadające ostrzejsze jeszcze postępowanie wobec polskich poddanych korony pruskiej, czas nam zastanowić się nad dalszym programem działalności.

Proces wrzesiński zwrócił na Wielkopolskę uwagę całego cywilizowanego świata i odbił się szczerem echem sympatii nie tylko u rodaków i współplemieńców, lecz i na szerokim widokręgu całego ludzkiego społeczeństwa.

Dla nas przedewszystkiem pamiętne winno być słowo, wyrzeczono-

ne w chwili, gdy się również zdawać mogło, że po naszej stronie stały sympatje Europy: «Point de réverses». I dziś się nie ludźmy. Zezna konsekwencja międzynarodowej polityki może jedynie wtedy względnie nasze słuszne skargi, by wytrwać wobec wrogich rządów i świat przekonać, że nie nasze aspiracje, lecz raczej pogąbska zasada siły przed prawem burzy porządek Boży na ziemi.

Dopóki walczyć nam wypadało z zachciankami pewnego odłamu niemieckiego społeczeństwa, póty wystarczać mogły argumenta. Gdy tendencje owych sfer poczęły znajdować posłuch, wtedy na drodze parlamentarnej zwalczyliśmy owe zasady i zapatrywania, lecz zawsześmy starannie unikali nawet pozoru stawiania oporu koronie.

Dziś sytuacja odmienna. Kanclerz państwa, odczytując mowę tronową, otwierającą imieniem korony sejm pruski, wystąpił w charakterze przedstawiciela zapatrywań monarchji. Zapowiedziano w orędziu tem energiczne środki ku popieraniu niemczyzny na «kresach wschodnich». Hr. Bülow w ciągu rozpraw tak w parlamencie niemieckim, jak w sejmie pruskim, bliżej wyjaśnił znaczenie tej zapowiedzi, a z wywodów jego wynika, że popieranie niemczyzny ma iść ręką w rękę ze zwalczaniem tak zwanej «polskiej agitacji». Tym sposobem sam rząd wciągnął w wir walki powagę korony.

Nie damy się tym manewrem wprowadzić na manowce. Zachowując zatem wszelkie względy, należne koronie, a wierni naszemu stanowisku, powołujemy się «a male informato, ad melius informandum regem».

Nawoływania o pomoc rzekomo uciśnionej niemczyźnie, bynajmniej nie są wyrazem przekonania przezwanej części niemieckich mieszkańców kresów wschodnich. Z ogółem niemieckich obywateli, zamieszkujących «naszą dzielnicę», nie mamy żadnych zatargów, a z pośród nich nieraz odzywają się poważne głosy, potępiające system obecny. I oni pragną poparcia, lecz nie przeciw polakom, — raczej przeciw owym mało wartościowym żywiolom, które tu, jak wszędzie, są kulą u nogi państwowego ustroju, a sztucznie zamęszoną sytuację wyzyskują na korzyść własną.

Niedawno minęły czasy, w których pierwszy sługa korony w wyrażnej przeciw swemu monarsze stał opozycji, a wtedy te same sfery, które dziś najostrzej do zwalczania polaków zachęcają, były oklaski wuchwałemu możnowładcy.

Gdy przodek dzisiejszego monar-

chy objął w posiadanie Marchję brandenburską, zmuszony był surowo wystąpić wobec żywiolów, dla których własny interes zawsze góruje nad interesem państwa, a których przewodnią myślą i po dziś dzień pozostało utarte wyrażenie: «und der König absolut, wenn er unsern Willen thut!»

Dziś nie powinni uchodzić za wrogów państwa ci, którzy, mimo zupełnego niemal wykluczenia od urzędów, mimo przymusu płacenia z własnej kieszeni zapomóg na ekonomiczne zwalczanie samych siebie, nigdy nie przestali głosić, że jedynie legalnymi środkami pragną dojść do sprawiedliwości; ci, którzy nigdy nie chcieli uwierzyć, jakoby powoływanie się na słowa monarsze nie miało być «szelagą wartę», — lecz raczej ci, którzy, pragnąc zarezerwować dla siebie monopol intratnych urzędów, przerażają kraj płonącymi strachami, by pod pozorem grożącego niebezpieczeństwa, wyłudzać od rządu zapomogi.

Wielkość i powodzenie monarchji pruskiej powstały i rozwijały się energią monarchów, karnością urzędników i nieskazitelną sędziów, pomnych na słynną legendę o młynarzu z Sanssouci. W tymże duchu zdobi herb państwa szczytna dewiza: «Sum cuique».

Józef Mycielski.

WEZWANIE DO ZGODY.

«W politycznej mgłę coraz wyraźniej zarysowuje się odwieczny wróg Słowian i Celtów — zakuta w pancerz, w żelazną odzianą, zbrojna od stóp do głów Germanja».

Temi słowy rozpoczyna się w «Now. Wrem.» artykuł, zatytułowany: «Z kim zbliżyć się? i zasługujący w chwili obecnej na szczególniejszą naszą uwagę. Autor artykułu wskazuje, że kanclerz niemiecki z całą stanowczością podkreśla w całej pruskiej «najwyższą wagę kwestji polskiej dla Prus, a wszechsłowiańskiej — dla Niemiec»; że równocześnie Niemcy z wysokości swoich katedr poselskich w Wiedniu i Berlinie nie zenują się ogłaszać przed całym światem swoich dążeń wszechniemieckich i zamiarów zgnębienia słowiaństwa. Więc gdy mowa jest o tem, czy Rosja powinna zbliżyć się do Anglii za cenę pewnych ustępstw wzajemnych, gdy mowa jest wogóle o wzmocnieniu Rosji na wypadek starcia się z Niemcami, autor artykułu uważa, że należy zastanowić się nad niektórymi, zazwyczaj przeoczanymi kwestjami. Oto jego słowa:

„Zachowaj Boże od krwawego starcia! Nikomu nie przyniesie ono pożytku, ale właśnie dlatego, w celu lepszej ochrony od tak tragicznego rozwiązania słowiańsko-germańskiej kwestji, trzeba, aby Niemcy wrzucili sobie w pamięć, jak ciężką będzie walka, aby zawczasu przejęli się świadomością o niemożności złamania Słowiańszczyzny. Obecnie zaś widzą oni rozdzielone, nawet wrogo usposobione względem siebie narodowości jednego i tego samego plemienia. Czyż nie mają oni słuszności w swoich rachubach na naszą historyczną domową rozterkę? Z pomocą takiego świętego sojusznika, mają oni nadzieję, że zgnotą ostatecznie najbardziej słabych, a najsłabszych odepchną jaknajdalej na wschód. Mamy potężnego, godnego sprzymierzeńca, sławnego celtów potomka — Francję. Z nią nie mamy potrzeby targować się o nic, układać sztuczne ugody — stworzyła ją sama historia, jako coś naturalnego, koniecznego. Wszelki zbyt przyjaźni związek z jakimś innym jeszcze mocarstwem mimowoli źle odbić się musi na pokojowym rosyjsko-francuzkiem współżyciu. Niedaleko żąd będzie już i do niemieckiego „dwużeństwa“, o którym publicznie głosił kanclerz Bülów. A więc jedynym możebnym jeszcze, a zarazem niezmiernie koniecznym zbliżeniem się — jest moralne zjednoczenie całej Słowiańszczyzny. Nie bacząc już na związek bliski krwi, sama wspólność strasznego wroga powinna zjednoczyć Słowian. Najważniejszą dla Prus kwestją jest — polska; jakąż więc winna ona być dla nas, rosjan? Nasi krmabrni, ale szlachetni bracia, ocalając siebie samych, przysięgają się wielu i całej Słowiańszczyźnie, jeżeli przestaną dążyć się na Rosję i szczerze zbliżą się do nas, a tym sposobem pomogą do rozwikłania „przekłętą kwestji“. W sklepieniu słowiańskiej budowli braknie cegły polskiej. Najżywniejsze interesy nasze i wszystkich tych, co nie życzą sobie niemieckiego zalewu, wymagają zjednoczenia się Słowian. Na widok jedności braterskiej, Niemcy — da Pan Bóg — nie odważą się obnażyć miecza i pomyślawszy, a zastanowiwszy się, być może, zdejmą helm i rozbiorą się — rozbiorą się ku uciesze całej upadającej pod brzemieniem wojskowości Europy. Wójciacy germanin stanie się wówczas poprostu pocziwym, miłym Niemcem. Nie za mormami, nie na wyspach należy wytargowywać sobie sprzymierzeńców, a poprostu trzeba serdecznie zbliżyć się do swoich krewniaków. W jedności Słowiańszczyzny tkwi jej siła“.

Ten artykuł opatruje dalszemi komentarzami redakcja «Now. Wrem.». Utrzymuje ona, że podczas, gdy południowa Słowiańszczyzna podąża obecnie do wyższego rozwoju, byt Słowian zachodnich podkopany jest etnograficznie i duchowo.

Podczas, gdy rosyjskie prowincje Pol-

skie wydały na świat w XIX wieku szereg świętych polskich poetów i prozaików, który stworzyli złotą erę literatury polskiej, najwyższą w dziejach jej istnienia, ani Pożnań, ani Galicja nie dały nic podobnego, nawet w przybliżeniu; a obecnie, zwłaszcza w Prusach, postawione zostało na kartę nawet samo istnienie polskiej narodowości“.

Rosja — zdaniem «Now. Wrem.» — nie może patrzeć bez bólu na to, jak germańska kultura przez swoje wybitne duchowe zalety i przez swój szorstki barbarzyński napór ściera nerwowe i słabsze w walce na kresach niemieckich plemię polskie: „Wywołuje to ból i w naszych sercach rosyjskich — powiada pismo — bo polacy nie są dla nas obcymi, a choć dużo kłócili się z nami, choć niekiedy bywali dla nas przykrymi, choć wzięli dużo krwi na naszej i nerwów — są przecież naszymi braćmi...“

„Z pomocą takiego świętego sojusznika, mają oni nadzieję, że zgnotą ostatecznie najbardziej słabych, a najsłabszych odepchną jaknajdalej na wschód.“

„Mamy potężnego, godnego sprzymierzeńca, sławnego celtów potomka — Francję.“

„Z nią nie mamy potrzeby targować się o nic, układać sztuczne ugody — stworzyła ją sama historia, jako coś naturalnego, koniecznego. Wszelki zbyt przyjaźni związek z jakimś innym jeszcze mocarstwem mimowoli źle odbić się musi na pokojowym rosyjsko-francuzkiem współżyciu. Niedaleko żąd będzie już i do niemieckiego „dwużeństwa“, o którym publicznie głosił kanclerz Bülów.“

„A więc jedynym możebnym jeszcze, a zarazem niezmiernie koniecznym zbliżeniem się — jest moralne zjednoczenie całej Słowiańszczyzny.“

„Nie bacząc już na związek bliski krwi, sama wspólność strasznego wroga powinna zjednoczyć Słowian.“

„Najważniejszą dla Prus kwestją jest — polska; jakąż więc winna ona być dla nas, rosjan? Nasi krmabrni, ale szlachetni bracia, ocalając siebie samych, przysięgają się wielu i całej Słowiańszczyźnie, jeżeli przestaną dążyć się na Rosję i szczerze zbliżą się do nas, a tym sposobem pomogą do rozwikłania „przekłętą kwestji“. W sklepieniu słowiańskiej budowli braknie cegły polskiej.“

„Najżywniejsze interesy nasze i wszystkich tych, co nie życzą sobie niemieckiego zalewu, wymagają zjednoczenia się Słowian. Na widok jedności braterskiej, Niemcy — da Pan Bóg — nie odważą się obnażyć miecza i pomyślawszy, a zastanowiwszy się, być może, zdejmą helm i rozbiorą się — rozbiorą się ku uciesze całej upadającej pod brzemieniem wojskowości Europy. Wójciacy germanin stanie się wówczas poprostu pocziwym, miłym Niemcem.“

„Nie za mormami, nie na wyspach należy wytargowywać sobie sprzymierzeńców, a poprostu trzeba serdecznie zbliżyć się do swoich krewniaków.“

„W jedności Słowiańszczyzny tkwi jej siła“.

Ten artykuł opatruje dalszemi komentarzami redakcja «Now. Wrem.». Utrzymuje ona, że podczas, gdy południowa Słowiańszczyzna podąża obecnie do wyższego rozwoju, byt Słowian zachodnich podkopany jest etnograficznie i duchowo.

Podczas, gdy rosyjskie prowincje Polskie wydały na świat w XIX wieku szereg świętych polskich poetów i prozaików, który stworzyli złotą erę literatury polskiej, najwyższą w dziejach jej istnienia, ani Pożnań, ani Galicja nie dały nic podobnego, nawet w przybliżeniu; a obecnie, zwłaszcza w Prusach, postawione zostało na kartę nawet samo istnienie polskiej narodowości“.

Rosja — zdaniem «Now. Wrem.» — nie może patrzeć bez bólu na to, jak germańska kultura przez swoje wybitne duchowe zalety i przez swój szorstki barbarzyński napór ściera nerwowe i słabsze w walce na kresach niemieckich plemię polskie:

„Wywołuje to ból i w naszych sercach rosyjskich — powiada pismo — bo polacy nie są dla nas obcymi, a choć dużo kłócili się z nami, choć niekiedy bywali dla nas przykrymi, choć wzięli dużo krwi na naszej i nerwów — są przecież naszymi braćmi...“

„Przeszłość, osobliwie przyszłość daleka nikomu nie jest wiadoma i utalentowany naród, który posiadał Mickiewicza, może zaświecić jeszcze złotymi dniami i wyda silniejsze tony strun słowiańskich, wyrazi słowiańskiej sztuki i myśli“.

W trosce o „cegiełkę polską“ w budowlu słowiańskiej, «Now. Wrem.» zaleca odrzucenie ostrej formuły polsko-rosyjskich stosunków: «albo my, albo wy». Pismo chce wpoić w umysł Rosji potrzebę zjednoczenia się z polakami, o której «jakgdyby zapomniano», a w pamięci polaków utrwalić ideę, że rola Polski nie była i nie jest europejską, ale słowiańską i w słowiaństwie. Pismo przypomina polakom, że

„w najostrejszych i najdrażliwszych momentach historycznych, napotykali w społeczeństwie rosyjskiem pewną bliskość, pewne zrozumienie i współczucie, podczas gdy Niemcy byli zawsze głusi względem Słowian, jak mur“.

Polacy winni tedy — zdaniem «Now. Wrem.» — stanąć na tym punkcie widzenia, że ze strony Rosji mogą liczyć zawsze na zabezpieczenie «istnienia etnograficznego, duchowego, obyczajowego, nie mówiąc już o literackim i religijnem, i rozkwitu materialno-ekonomicznego» — i na tym fundamencie budować powinni przyszłość.

Propagując na tej zasadzie zgodę między dwoma pokrewnymi narodami, «Now. Wrem.» wskazuje, że zależną jest ona w znacznej mierze od polaków, od spełnienia przez nich dwóch warunków. Polacy powinni mianowicie odrzucić «wszelką dwulicowość względem Rosji, wszystkie zamileczenia, kryzysy i zawile drogi» i wraz z innymi słowiańskimi narodowościami, pierwsi zwrócić się ku Rosji, nie dlatego, aby pogląsknąć jej miłość własną, ale z tej naturalnej — jak powiada pismo — zasady, iż

„drobne opiłki lgną do magnesu, a nie olbrzymi magnes, jakim jest potężne mocarstwo, uruchomia się w ich kierunku“.

PIROGOWSKI ZJAZD LEKARZY.

Po całotygodniowych obradach zakończył się w Moskwie ciekawy zjazd lekarzy rosyjskich. Zjazdy te, jak wiadomo, poświęcone są pamięci genialnego chirurga Pirogowa i zjazd noszą miano «zjazdów Pirogowskich».

Pirogow był nie tylko chirurgiem-specjalistą; przedewszystkiem był on na wielką skalę działaczem społecznym, był obywatelem w szerokim tego słowa znaczeniu. Kto wie, może dlatego zjazdy Pirogowskie mają odrębne piętno; może dlatego na zjazdach tych sprawy naukowe stanowią zaledwie tło, na którym zarysowują się zagadnienia ogólnospołeczne; każda kwestja podczas obrad sekcyjnych stara się zakreślić szerokie kółko i potracić o pałace sprawy ogólnobywatelskie. Przedstawiciele czystej nauki, jej koryfeusz schodzą tu niejako na plan drugi, a miejsce wybitne zajmują

t. zw. «ziemcy». Tak też było i podczas ostatniego zjazdu: na wszystkie honorowe miejsca, jako to: na honorowych prezesów, sekcyjnych sekretarzy i t. d. powołano lekarzy prowincjonalnych. Nawet profesor uniw. kazańskiego Kapustin, aczkolwiek dziś należy do wybitnych luminarzy nauki, z przeszłości swojej ściśle jest z ziemstwem związany.

Tow. imienia Pirogowa nie przestaje pracować i w chwilach wolnych od zjazdów i niezależnie od nich; stara się ono wpajać w ludność zasadnicze pojęcia o higienie, dąży wszelkimi środkami do podniesienia dobrobytu i zdrowotności wśród mas szerokich.

Ostatni zjazd zgromadził blisko 2 tys. członków. Poruszyl sprawy bardzo doniosłe. Nie tu miejsce zdawać dokładne sprawozdanie z całego szeregu posiedzeń, nie mogę jednak pominąć milczeniem kilku kwestyj, które mają ogólne znaczenie: walka z gruźlicą, walka z pijaństwem i walka z syfilisem.

Dla rozpraw nad gruźlicą połączyło się kilka sekcji: sekcja higieny, bakteriologii, sekcja chorób wewnętrznych, weterynaryj, medycyny wojskowej, ziemskiej i miejskiej. Wyznać należy, że i komunikaty były nader ciekawe. Głosy obradujących podzieliły się na dwa obozy: jedni, zwolennicy «czystej nauki», proponowali przedewszystkiem zbadać biologiczną stronę gruźlicy, właściwości samego zarazka, wreszcie określić, na czem polega gruźlica, tembardziej, że dotychczas niewiele o tem wiemy, i wtedy dopiero wziąć się za bary z tą straszną plagą ludzkości; inni zaś zapatrywali się na gruźlicę, jako wynik pewnych ogólnospołecznych warunków, z którymi przedewszystkiem walczyć należy; proponowali więc radykalną zmianę tych właśnie warunków, a jako środki praktyczne, zalecali podnieść dobrobyt ekonomiczny mas, polepszyć warunki sanitarne, stworzyć zakłady lecznicze i sanatoria, powiększyć dozór lekarski na fabrykach i zakładach przemysłowych, ubezpieczać pracowników na wypadek choroby, starości lub niedołęstwa, wypowiedzieć walkę alkoholowi, ochraniać pracujące masy drogą ustaw prawodawczych i t. d. Ale i te głosy rozpadły się na dwa odłamy: jedni marzyli o szerokim programie, o organizacji na wielką skalę, chcieli powołać do wspólnej pracy całe zasoby sił społecznych; inni zwiększali owe ramki, proponując, aby specjalnie utworzona *ad hoc* komisja podjęła się wypracować środki dla zwalczania tej strasznej choroby. Utrzymał się projekt ostatni.

Niemniej ożywioną dyskusję wywołały komunikaty o walce z alkoholem. Zdania tak się zaczęły ściierać, iż przewodniczący zmuszony był chwytając za dzwonek i przywoływać «do porządku dziennego». Bo też mówcy występowali nieraz z dziwnymi projektami...

Wychodząc z zasady, iż pijaństwo jest chorobą i przytem chorobą uleczalną, dr. Murawjew proponował utworzenie całego szeregu kolonij, gdzieby pijacy, poddani ścisłej kontroli, mogli pracować w sprzyjających warunkach i w ten sposób zarabiać na swe utrzymanie. Ktoś z obecnych zauważył, iż podobne kolonie przypominałyby «ciężkie roboty», i że na produkcyjną pracę pijaków liczyć bardzo nie można, gdyż

są oni w większości wypadków degeneranci. Inny mówca, dr. Korowin, znany propagator wstrzemięźliwości, wielkie nadzieje pokładał na umoralniający wpływ szkoły, i w niej widział jedyny sposób walki z pijaństwem.

W czasie dyskusji wyłoniła się sprawa hipnotyzmu. Wiadomo, jak zbawienym środkiem przy leczeniu alkoholizmu bywa hipnotyzm. Tymczasem prawa lekarzy przy stosowaniu tego środka są nader ograniczone wobec rozporządzenia departamentu medycznego. Bojąc się, aby lekarze nie nadużywali tego środka dla celów nielegalnych, a także ponieważ sam środek jest niebezpieczny, władze zabroniły stosowania hipnotyzmu dla celów leczniczych; obradujący wnieśli projekt, aby się starać o zniesienie tego rozporządzenia, które bądź co bądź poniża godność lekarską i ma przeto zasadnicze znaczenie etyczne. Czyż nóż w ręku chirurga, lub morfina w ręku każdego lekarza są mniej niebezpieczne, niż hipnotyzm w ręku specjalisty? A tymczasem każdy, opatrzony dyplomem lekarskim, ma prawo stosować oba te środki według sumienia i zasad nauki. Sprawa hipnotyzmu również szeroko debatowana była w sekcji chorób nerwowych i umysłowych. Tu jednogłośnie postanowiono robić starania o zniesienie wszelkich pod tym względem ograniczeń, byle tylko posiadzenia hipnotyczne nie odbywały się publicznie. «Jeżeli obnażanie ciała chorej wobec licznego audytorjum — mówił prof. Rossotimo — stanowi ważny skopol przy wykładach publicznych, to czyż wolno jest obnażać duszę człowieka wobec obcych osób?»

W sekcji chorób skórnych wielkie wrażenie wywołał komunikat prof. Tarnowskiego w sprawie syfilisu. Mówca do strasznych i wcale niepokojących dochodził wniosków. Twierdzi on, iż syfilis mniej jest niebezpieczny dla chorego, dotkniętego tą niemocą, niż dla jego potomstwa, mniej dla danego osobnika, niż dla całego społeczeństwa. Całe zwyrodnienie społeczeństwa trzeba klasę na karb odziedziczonego syfilisu. Rozprawy w sprawie walki z tą chorobą były również bardzo ożywione i zabrały немало czasu obradującym.

Ze spraw, mających ogólniejsze znaczenie, a poddawanych dyskusji podczas zjazdu, należy wyróżnić kwestję dopuszczenia kobiet do uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych, oraz kwestję zniesienia kar cielesnych. Zgromadzenie przychylnie zajęło stanowisko wobec obydwóch tych spraw nagłych.

Mniej pomyślnym skutkiem pochwalić się może sprawa dopuszczenia Słowian, jako rzeczywistych członków, na zjazdy Pirogowskie. Pomimo, iż wniesiona ona została przez taką powagę naukową, jak prof. Ott i poparta była przez innych wybitnych przedstawicieli rosyjskiej nauki — poddana dyskusji, upadła. Wydaje mi się to tem dziwniejsze, iż lekarze rosyjscy na słowiańskich zjazdach szeroko korzystają z gościnności.

Na zjazd przybyło niemało lekarzy polaków. Jeden z nich, dr. Kozłowski, znany chirurg, powołany został na prezesa jednego z posiedzeń sekcji chirurgicznej.

Dr. W. Sawaniewski.

Moskwa, 12 stycznia.

ILUŚĆ SEKCIARZY ROSYJSKICH.

Według danych statystycznych ostatniego spisu ludności rosyjskiej w r. 1897, ilość starowierców (roskolników) obu sekt — „popowskiej“ i „bezpopowskiej“, nie przerosła jednego miliona. Nieznaczna ta cyfra uderzyła wszystkich znawców „roskołu“, którzy odrzucał, że obliczenie to musi być wynikiem jakiegoś zasadniczego nieporozumienia. Obecnie „Nowoje Wrem.“ wyjaśnia, w czem owo nieporozumienie ma swe źródło. Starowiercy lubią nazywać siebie „prawosławnymi“, „staro-prawosławnymi“ lub zwyczajnie „chrześcijanami“, a uważając się za najlepszych, a bodaj jedynych „prawosławnych“ — przy spisie, na zasadzie tego rodzaju wskazówek własnych, zapisywani byli w dziale „prawosławnych“. Podobne nieporozumienie zaszło już za powszechnego obliczenia ludności w roku 1850, gdy cyfra oficjalna roscolników podana została na 829,971 osób. Tymczasem w tymże roku minister spraw wewnętrznych, hr. Perowski, przedstawił cesarzowi Mikołajowi I specjalny referat o roscole, w którym obałat cyfrę oficjalną i określał liczbę starowierców w ilości 9 mil. Przedsięwzięte z tego powodu następnie obliczenia wyznaczonych przez rząd „ekspedycyjn statystycznych“, wykazały, że ilość starowierców jeszcze przed r. 1870 wynosiła 13 do 14 milionów. Od owego czasu ludność starowiercza musiała w drodze naturalnego rozwoju się rozmnożyć. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w samej Moskwie posiadają oni 20 świątyni, że misjonarze w corocznych swoich sprawozdaniach mówią o nawracaniu 50 tysięcy roscolników, to samo przez się narzuca się pytanie: „zskądże brałoby się tylu nawróconych co roku wobec drobnej cyfry oficjalnej?“ Należy przeto liczyć się z naturalnym przyrostem ludności i jednocześnie ze zmniejszeniem liczby adeptów roskołu przez nawracanie, a wówczas — według „Now. Wrem.“ — wypadnie, że starowierców w Rosji obecnie jest najmniej 15 milionów.

ECHA ZACHODNIE.

BERLIN, 25 stycznia.

[Sytuacja hr. Bülowa. Interpelacja ks. Radziwiłła. Echa demonstracji lwowskich. Wiece polski w Berlinie].

Δ Odosobnieniu politycznemu Niemiec hr. Bülow próbuje zaprzeczyć dwoma faktami: odwiedzinami ks. Walji w Berlinie i podróżą ks. Henryka pruskiego do Ameryki północnej. Niepodobna komentować wypadków, które jeszcze się nie odbyły; zdaje się wszakże, że tak jeden jak i drugi mało wpłyną na zmianę obecnych stosunków. Czynią one raczej wrażenie politycznego *beauiff'u*, t. j. tej kombinacji, kiedy niefortunny gracz złą kartę stara się zamaskować pewną miną i zadowolonym uśmiechem.

W polityce wewnętrznej położenie wydaje się nie lepszem. Projekt nowej taryfy celnej budzi zaciekle gniew w stronnictwach wolnomyślnych, a równocześnie nie czyni zadość rozkiełzanym apetytom agrariuszów. Giętkość, która pierwotnie pozwalała lawirować kanclerzowi między stronnictwami, i którą mu poczytywano jako talent męża stanu, teraz zaczyna budzić zgola inne uczucia. Z ust jednego z wytrawnych polityków niemieckich słyszałem, iż stanowisko hr. Bülowa, jeśli nie jest zupełnie zachwiane, to jest z pewnością ilnie osłabione. Zrobił się powolnym narzędziem pewnych wpływów, które po-

zornie tylko liczą się z jego powagą. Wytworny kosmopolita stał się igraszką w ręku gruboskórnych szowinistów pruskich; pragnąc pogodzić wilka i owcę, tu i tam stracił znaczenie. Nie posiada przytem nawet tego uroku wielkiego pana, jaki wywierał ks. Hohenlohe.

Ten zaś urok działa nie tylko w sejmie, gdzie gnieździ się junkierstwo pruskie, lecz i w parlamencie. Jednym z dowodów służyć może szacunek, jakim bezwiednie otaczają członkowie Reichstagu ks. Ferdynanda Radziwiłła. Nawet p. Sattler traci swą zwykłą bezczelność, gdy ma odpowiadać prezesowi Koła polskiego, spokrewnionemu z domem Hohenzollernów. Duch arystokratyczno-monarchiczny odgrywa w społeczeństwie niemieckim ważną rolę, nawet w tych warstwach, które, jak stronnictwo narodowo-liberalne, pozornie wolnomyślniejszym ideom hołdują.

P. Sattler będzie miał niebawem znowu sposobność do próbowania swych zębów na „polskim granicie“. Powszechnie mniemano, iż dalszy ciąg rozpraw nad znaną interpelacją ks. Radziwiłła w sejmie Rzeszy będzie zaniechany. Przerwę sprowadziły wakacje świąteczne; potem zaraz miała miejsce interpelacja polska w sejmie pruskim, która stan rzeczy wyświeciła dokładnie. Zarówno polacy, jak świat cały dowiedział się o zamiarach, jakie żywi wobec ludności «prowincyj dwujęzycznych» rząd pruski. Na zmianę kursu wpłynąć nie mogą żadne argumenty; rząd pruski zdaje sobie sprawę, jaką drogą kroczy, ale obecnie, obłąkany szowinizmem, nie zejdzie z niej z pewnością. Wydawało się tedy, iż dalszy ciąg dyskusji nad interpelacją ks. Radziwiłła, nie mogąc już ani rzucić nowego światła, ani przynieść jakichkolwiek konkretnych skutków, z natury rzeczy czyni się bezcelowym.

Tymczasem w Kole polskiem przemogło zdanie, iż zaniechanie dalszej dyskusji byłoby cofnięciem się przed walką i przyznaniem się do porażki. Zdecydowano więc wznowić odroczonej dyskusję. Chodziło również o odparcie potwarzy i oszczerstw, jakich p. Sattler pozwolił sobie pod adresem społeczeństwa galicyjskiego. Po części dokonał już tego podczas dyskusji budżetowej sam ks. Radziwiłł. Przedstawiciele Wielkopolski pragnęli dla braci małopolskich jeszcze zupełniejszej satysfakcji.

Czy ją otrzymają? Czy wytrwają w zamiarach? Ostatnie wypadki lwowskie dały nową broń do rąk przeciwnikom, a osłabiły nasze szeregi. Gdyby uczestnicy owych nieszczęśliwych demonstracji zdawali sobie sprawę, jaką przysługę i jaką przyjemność świadczyli najzawziętszym wrogom narodowości polskiej, zaplakaliby ze wstydu. Nam tutaj plaknąć się chciało na widok tego uśmiechu triumfu i zadowolenia, jaki rozpostarł się na szpaltach wszystkich nieprzyjrzanych nam dzienników...

I trzeba w tym wypadku oddać Niemcom sprawiedliwość, że nie pomogli milczeniem tych głosów prasy polskiej, które napiętnowały owe wybrki. «Berliner Tageblatt» przytoczył dłuższy ustęp z artykułu «Dziennika Polskiego». Inne pisma postąpiły tak samo. Lecz tem nie mniej nie kryto radości. Hr. Bülow pozyskał nowy argument, gdy będzie

chciał ścieśnić żelazne kleszcze, któremi rząd pruski usiłuje zdusić polskość. Można śmiało rzec, iż owe demonstracje lwowskie były bezpośrednio wymierzone przeciw społeczności wielkopolskiej. Czy były one zainicjowane przez tajnych agentów pruskich, czy nie — tego nie wiemy. Ale jeśli tak, to owi agenci prowokacyjni będą mieli prawo żądać wysokich nagród, wywiązali się bowiem z zadania wyśmienicie.

W ubiegłą niedzielę odbył się w Berlinie nowy wiec w sprawie wychowania młodzieży polskiej. Jak wiadomo, między tutejszą kolonią polską a katolickimi władzami duchownymi toczy się nieustanna walka z tego powodu, iż księża nie chcą udzielać działwie polskiej nauki przygotowanej do spowiedzi w ojczystej mowie tej działwy. Ostatniemu zebraniu przewodniczył p. Wł. Berkan, który wygłosił równocześnie długą i piękną mowę, zachęcając zgromadzonych do wytrwania w biernym oporze i do przechowywania i strzeżenia tradycy narodowych. Słowa jego, nacechowane roztropnością i rozwagą, duże uczyniły wrażenie. Potem wszakże uczestnicy wiecu dali się unieść mówcom bardziej radykalnym i uchwalili zwrócić się z petycją do Stolicy Apostolskiej, ażeby, przychyłając się do gorących pragnień tutejszych katolików-polaków, ustanowić raczyła ostateczne a trwale przepisy dla duchowieństwa berlińskiego, zapewniające kolonji polskiej dostateczną ilość nabrzeźstw polskich, oraz posługi duchowne i naukę religji dla dzieci w języku polskim.

Jaki może być skutek takiej petycji, wypowiadającej poniekąd walkę najbliższemu władzom kościelnym, kto ją ma zredagować i zająć się doręczeniem, o tem zgromadzeni wcale nie wszczęli dyskusji.

Wogóle, pod wpływem przesładowań narodowościowych i ciągłego drażnienia, żywiły radykalne zdają się wśród tutejszej kolonji wzmacniać. Dowodem fakt, iż p. Berkan, dotychczasowy prezes komitetu wszystkich towarzystw, nie został ponownie obrany. Wydał się nadto białym. Łatwiej było wszakże go nie wybrać, niż zastąpić. Dość trudno będzie znaleźć innego kandydata, któryby posiadał warunki, niezbędne na tem trudnym i odpowiedzialnem stanowisku.

Gordon.

Δ Z Wiednia do „Czasu“ donoszą: „Walka nakładców galicyjskich przeciwko zaprowadzeniu w Rosji cła na książki polskie, zakończyła się przegrana, mimo gorliwego poparcia ze strony Koła polskiego. Obecnie w Niemczech toczy się walka o cło na książki w odwrotnym kierunku, czyli, że rząd chce cło wprowadzić, a nakładcy niemieccy sami przeciw temu protestują. Sprawa jakskrawo uwydatnia postępowanie rządu niemieckiego, prowadzące do nieproszonej opieki nad tą gałęzią zarobkowości. Projektowane przez rząd niemiecki cło nie dotyczy właściwie książek, tylko okładek czy to na książkach, czy osobno wysyłanych; jak dowodzi w petycji swej związek nakładców niemieckich, do Niemiec importowane bywają niemal wyłącznie książki oprawne“. Jest to więc utrudnienie dla wwozu polskich książek z Galicji do Prus.

Z MIAST I WSI.

WILNO, 13 stycznia.

[Przesilenie kamienicznicy i nowe Tow. komandytowe. Kilka nowych przepisów, obowiązujących właścicieli miejskich. Stróże wileńscy. Tkacze tałasów. Projekt zniesienia «króbkki». Zadrzewianie Wilna.]

Przesilenie kamienicznicy prześciga w swych rozmiarach wszystkie inne przesilenia, jakie obecnie kraj nasz przeżywa. W Wilnie zawiązało się Towarzystwo komandytowe pod firmą: «Huszcza, Malinowski i S-ka» dla kupna, sprzedaży i eksploatacji domów, sprzedawanych z wolnej ręki lub na licytacjach. Na czele Towarzystwa stoją inżynierowie, pp. Konrad Huszcza i Władysław Malinowski, właściciele poważnej firmy, obsługującej rolnictwo i przemysł w zakresie techniczno-inżynierskich robót i interesów komisowych. Spółka, do której należy wielu kapitalistów miejscowych, rozporządza znacznymi środkami.

Na ostatniej licytacji w Banku ziemskim wileńskim pp. Huszcza i Malinowski zakupili dla Towarzystwa 53 kamienice w Wilnie, Białymstoku i Kownie za sumę przeszło miliona rubli. Cena domów obecnie jest anormalnie niską, Towarzystwo zaś, mając zasób kapitałów, może przetrwać przesilenie ekonomiczne i osiągnąć w przyszłości znaczne zyski. Wszelako zanim nastąpi zrównoważenie ogólnego stanu ekonomicznego, oczekiwać należy chwilowo jeszcze większego obniżenia się szacunku nieruchomości w Wilnie, gdyż właśnie władze zatwierdziły przyłączenie do miasta obszaru zwierzyńskiego, zawierającego z górą półtora dz. ziemi. Jakkolwiek niewątpliwie place w Zwierzynie natychmiast zdrożeją w dwójnasób, gdyż odtąd nabywać tam posiadłości mogą osoby wszelkich wyznań, jednak ziemia zwierzyńska będzie przez czas jakiś daleko tańszą od ziemi w mieście, a to znowu przyczyni się do obniżenia wartości kamienic śródmiejskich, a zarazem do obniżenia komornego, czego powinszować wypada 150 tysiącom wilanian, nie posiadających kamienic i zmuszonych obecnie płacić ogromne komorne za liche lokale.

Obecnie w ich interesie wileńska rada miejska uchwalila przepisy, nakazujące właścicielom domów oświetlać bramy, dziedzińce i schody, prowadzące do mieszkań. Rzecz mała i marnego wydatku wymagająca, a dogodna niezmiernie. Ale kamienicznikom grozi inna jeszcze nieprzyjemność: obowiązek polepszenia mieszkań stróżów, którzy lokują się zwykle w suterdach, przerobionych z wilgotnej piwnicy, lub w budach, skadzonych przy miejscach ustępowych! O dawna już wolano, że tysiące ludzi, skadzonych na tak okropne warunki życia, stanowią ognisko chorób, roznoszonych po całym mieście.

Nietylko jednak stróże żyją w warunkach oplakanych. Włóścianin gnieździ się w maleńkiej ciupce z rodziną i czeladzią w liczbie kilkunastu dusz, mając oprócz tego za współlokatorów: krowę, cielęta, owce, świnię, kury. A nasi małomiasteczkowi żydzi, zwłaszcza zaś tkacze, specjalnie zajmujący się tkaniem «tałasów» dla swych współwyznawców! Taki tałasnik, których prowincja liczy przeszło 1,200, mieści się w izdebce ciasnej, ciemnej, brudnej, z powietrzem zgni-

lem, wśród nieustannego kurzu z wełny, wywołującego stale zapalenie oczu i dróg oddechowych. Tkacz pracuje godzin 15; zaprzęga do pomocy żonę i starsze dzieci i zarabia na tydzień... dwa ruble. W tej nędzy naszych żydów jest jeszcze jedna dodatkowa szruba, miazdząca ich — t. j. podatek od koszernego mięsa, zwany «króbką». Sumy, zbierane z «króbkki», używane są na filantropijne zakłady żydowskie: szpitale, przytulki, chedery i t. p. Otóż ogół żydowski dzieli się już wyraźnie na wolnomyślną bogatą inteligencję, żartującą sobie z przepisów koszeru, i na ubogą masę ortodoksalnych zachowawców, którzy święcie chowają dawny obyczaj i tym sposobem na swych ramionach dźwigają ciężar utrzymywania instytucji dobroczynnych. Jak dalece to brzemień jest wielkie, dość powiedzieć, że funt koszernego mięsa, które spożywa ubogi żyd, jest droższy o 10 kop. od mięsa zwykłego, używanego przez bogatego żyda. Z tego powodu podjęto starania o zniesienie opłaty «króbkki» i o ustanowienie opłat pośrednich na utrzymanie instytucji specjalnie żydowskich, przyczem ma się na widoku pobory te rozciągnąć na sfery bardziej zamożne i zwolnić od nich klasy najuboższe.

Komisja «ogrodowa» przygotowuje na wiosnę miły podarek dla wilanian; wysadzenie lipami miejscowości od rogu ulicy Sawicz do ul. Subocz i od Miljonnej (b. Rynek Zielony) do Rudnickiej, oraz zadrzewienie reszty Świętojerskiego prospektu aż do mostu Zwierzynieckiego.

A. R. Z.

Wilno. Jak wiadomo, projektowana dla Kraju północno-zachodniego politechnika ma powstać w Wilnie. Ale innego zdania jest «Minskij Listok», który kategorycznie żąda, aby politechnika ta powstała w Mińsku. «Listok» popiera swe żądanie następującymi argumentami: trzy gubernie białoruskie (mińska, mohylewska, witebska) złożyć mają na założenie projektowanej politechniki 64 proc. żądanej sumy, podczas gdy trzy gubernie litewskie (kowieńska, wileńska, grodzieńska) złożą zaledwie 34 proc. tej sumy. Nadto «Listok» twierdzi, że Mińsk jest istotnym centrum rolnego i leśnego przemysłu dla całego kraju, podczas gdy Wilno jest tylko centrum administracyjnym; wreszcie Wilno leży zblizko Warszawy, Rygi i Petersburga, gdzie politechniki już istnieją. Posłuchajmy teraz wywodów «Siew.-Zap. Słowa», które zbija argumenty mińskie: politechnika winna powstać w Wilnie, które szybko wzrasta i liczy już około 200 tys. ludności. Wilno jest istotnym centrum kulturalnym dla całego kraju, posiada dobrze zachowaną bibliotekę, bogate muzeum i wiele środków, ułatwiających naukę; nadto Wilno może kiedyś posiadać i uniwersytet. To wszystko przemawia za tem, aby politechnika powstała w Wilnie, a nie w Mińsku. Na pocieszenie dziennik wileński proponuje Mińskowi, aby wyjednał sobie instytut leśny.

Z Pińska piszą do nas: Zimą mamy niezwykłą: zaledwie na dni kilka w początku grudnia rzeki stanęły, wnet potem lody puściły i nanowo rozpoczęła się komunikacja na łodziach. Ponieważ łaki nasze są bagniste i dostawa siana odbywa się tylko w czasie silnych mrozów, obecnie więc gospodarze uskarżają się na straszny brak paszy. Straty ponoszą kupcy leśni, szczególnie ci, którym kończą się terminy wyrebu i wywozu materiałów. Sklepy w Pińsku świecą pustkami, tylko apteki są pełne, bo tyfus, ospa i inne choroby zapaalne zagnieździły się u nas na dobre. Niedawno z miejscowego więzienia zbiegło trzech ciężkich

przestępców, pomimo że byli okuci, udasil dozorcy więziennego i niepostrzeżeni wydostali się na wolność. Niebezpieczny wypadek spotkał powracające łodzią z balu gro- no towarzyskie złożone z 9 osób, przeważnie młodych panów i panien. Około godz. 8 rano na jeziorze Pińskim, wskutek silnego wiatru łódź się przewróciła i wszyscy wpadli do wody. Szczęście w pobliżu była kępa z sitowia, na którą, brnąc po zryję w wodzie, rozbitkowie się schronili. Po upływie 3 godzin nieszczęśliwych zlodowaciałych odwieziono do pobliskiego majątku Podpińska. Tak więc cały ten wypadek skończył się na strachu. W.

KIJÓW, 13 stycznia.

[Wystawy rolnicze w Kaniężcu, Berdyczowie, Winnicy. Rozmowa z prezesem podolskiego Towarzystwa rolniczego. Szkoła rolnicza na Podolu. Filja syndykatu, a drobne syndykaty prowincjonalne. Potrzeba syndykatu na Polesiu wołyńskim.]

W roku bieżącym będziemy mieli aż trzy wystawy rolnicze. O kamienickiej donosił już «Kraj» w numerze poprzednim. Berdyczowska była dotąd problematyczną. Komitet berdyczowski postanowił zapytać Tow. podolskie, czy myśli ono urządzić swoją zwykłą wystawę w Winnicy i jeżeli tak, to zaniechać wystawy w Berdyczowie, bo dwa te miasta leżą zbyt blisko siebie, by ich wystawy nie konkurowały.

Podolskie Towarzystwo odpowiedziało, że urządzi swe wystawy już przez cztery lata, więc urządzić je będzie i nadal. Ale pomimo to otrzymuje wiadomość, że wystawa w Berdyczowie będzie. I to mało, że będzie, ale program jej jest znacznie rozszerzony: będzie to już wystawa nie rolnicza, a rolniczo-przemysłowa, i kilku największych właścicieli ziemskich z Kraju południowo-zachodniego przyrzekło swój udział.

Wystawa odbędzie się w połowie sierpnia w ogrodzie Czepa, z którym, niestety, udało się pogodzić. Mówię: niestety, gdyż pomieszczenie wystawy tuż obok «ting-tanglu» gorszego gatunku niekoniecznie jest pożądanem i w Berdyczowie udałooby się bezwątpienia znaleźć odpowiedniejsze miejsce. Co się tyczy Winnicy, to mogę zawiadomić z najpewniejszego źródła, że wystawa odbędzie się tam w czasie zwykłym, a więc na początku września.

Wracając kilka dni temu do Kijowa z wycieczki, spotkałem na stacji Gniwań prezesa Tow. podolskiego, hr. Heydena. Wziął z sobą do wagonu ogromną tekę, napelnioną referatami do odczytania na posiedzeniach Towarzystwa, artykułami, przeznaczonemi do wydrukowania w tygodniku Towarzystwa, korektami, odbitkami i innymi papierami. Prezes rozmawiał to z rzadką swego majątku, to z inspektorem szkół ludowych w sprawie otwarcia jakiejś nowej szkoły. Jakkolwiek z Gniwania do Winnicy podróż trwa nie całe pół godziny, upatrzyłem chwilę, aby zagadnąć prezesa o sprawy najruchliwszego i najpopularniejszego z naszych towarzystw rolniczych. Dodam, że hr. Heyden wygląda bardzo młodo, na lat trzydzięci zaledwie, ubiera się w uniform pułkownika w rezerwie. Dowiedziałem się od niego, że wystawa potrwa o parę dni krócej, a to dlatego, że nie będzie na ten raz przyznawania medali i nagród, przysyłanych zazwyczaj przez ministerstwo rolnictwa.

Kłopot był z niemi wielki — rzekł hr. Heyden — gdyż dla przyznania podobnych nagród trzeba się było starać

o ściągnięcie na wystawę wysoce kompetentnych sędziów, a więc profesorów i naukowców różnych zakładów naukowych. Ekspertów częstokroć zawadzili; podróżę są dla nich uciążliwe, a więc trudno ich facygować co roku. Wobec tego rozdaliśmy tylko swoje własne nagrody, zapraszając na ekspertów własnych członków.

Dowiedziałem się nadto, że Towarzystwo nabyło na własność od miasta Winnicy teren wystawowy, wynoszący coś około pięciu dziesięcin gruntu, za 20 tys. Nabyto również 17^{1/2} dziesięcin gruntu w pobliżu Homiennej, niedaleko Winnicy, dla szkoły rolniczej. Z zamiarem otwarcia szkoły, która dostarczać ma niższych oficjalistów, nosi się Towarzystwo od pierwszej chwili istnienia. Szkoła powstanie dla dwudziestu uczniów zaledwie i utrzymanie jej kosztować będzie zaledwie 1,500 rb. Więcej takich szkół... Pole doświadczalne Towarzystwa przeniesione przeto zostanie z Winnicy do Humiennej.

W Winnicy hr. Heyden wysiadł i pośpieszył do swego biura, położonego o kilkadziesiąt kroków od dworca, przy terenie wystawowym. Ogromne szylidy i kilka budynków stałych przypominają przejeżdżnym, że tu się odbywają głośnie już wystawy podolskie. Budynki w zimie oddawane są w dzierżawę i Towarzystwo ma z nich dochód. Wogóle Tow. umie prowadzić swoje interesy; żadna wystawa nie dała deficytu. Towarzystwo unika operacji handlowych, nie sprzedaje maszyn ani nasion. Nie nasładuje Tow. kijowskiego, które robi niby interesy komisowe. Tow. podolskie pozwoliło chętnie syndykatowi kamienickiemu otworzyć filję w Winnicy i prowadzić tu operacje handlowe, samo spełniając natomiast swoje zadania bezpośrednio.

Zwracając się do filji syndykatów, przyznać należy, że są one instytucjami dość dziwnymi. Zamiast syndykatu, instytucji obywatelskiej, na której czele stoi zarząd, rada, komisja rewizyjna, w rozmaitych punktach otwierane są filje syndykatu, a więc również instytucje obywatelskie, korzystające z kapitału obrotowego i kredytu syndykatu centralnego, lecz rządzone i prowadzone zwykle przez pełnomocnika, pozostającego pod nader słabą i powierzchowną kontrolą zarządu centralnego. Ponieważ filja syndykatu obsługuje ziemian, zamieszkałych w promieniu kilkunastu wiorst, więc czyżby nie było o wiele racjonalniejszym, gdyby zamiast filij otwierano drobne syndykaty prowincjonalne, posiadające własny zarząd, radę i t. d.? Drobne syndykaty powinnyby pozostawać w ciągłych stosunkach z sobą, a dla zalatwiania poważniejszych operacji handlowych, jakoto: zawiązywania stosunków z zagranicą, nabywania większych partij towarów i t. d., powinnyby utworzyć związek centralny syndykatów. Za tworzeniem drobnych syndykatów, zamiast filij, przemawiają również nader smutne rezultaty działalności oddziałów filjalnych. Prócz jednej filji berdyczowskiej, żaden z oddziałów nie przyniósł syndykatom nic, prócz kłopotów i strat. Syndykat kijowski zlikwidował i zamknął większość swoich filij.

Tymczasem syndykaty na prowincji są bardzo potrzebne. Sam fakt powstania syndykatu w danej miejscowości zmusza cały ogół handlujących maszynami,

narzędziami rolniczymi i nasionami do większej dbałości o interesy klientów i do zniesienia cen. Brak syndykatu szczególniejszą się uczuć daje obecnie na Polesiu wołyńskim. Dochodzą nas ztamtąd liczne głosy, domagające się utworzenia syndykatu. Szczególniej historia z kosami, która stała się obecnie bardzo głośną, przemawia za utworzeniem syndykatu. A historia ta jest taka. Przed rokiem fabryka kos Mintzera i Sp. w Austrji zasypała wszystkich soltysów w powiecie owruckim reklamami swoich kos, wychwalając ich przymioty, taniość i zobowiązując się wysłać je pocztą. Całe masy włóścian i drobnych właścicieli ziemskich, wobec zupełnego braku w tych stronach większego składu maszyn i narzędzi rolniczych, dały się wziąć na reklamę i sprowadziły sobie kosy z Austrji, które, ku oburzeniu powszechnemu, okazały się drogie i w gatunku najgorszym. Taki wysysk tłumy przez spekulatorów zagranicznych byłby wręcz niemożliwy, jak słusznie zaznaczają poszkodowani, gdyby Polesie miało syndykat.

Należy się więc o takie syndykaty postarać, a w Kijowie otworzyć Biuro związków centralnego syndykatów rolniczych.

Sam.

Kijów. Panorama „Golgoty“ otwartą została w Kijowie w tych dniach. Na otwarciu był obecny gubernator kijowski, prezydent miasta i wielu wyższych urzędników, radni miejscy, malarze, przedstawiciele prasy. Obraz przedstawia się świetnie. Zwłaszcza znakomitym jest krajobraz. Teren sztuczny, wykonany przez malarza krakowskiego p. Fabjańskiego, jest tak doskonały, że niema sposobu zauważyć, gdzie się on kończy, a zaczyna obraz.

Zmarł tu dyrektor dramatu kijowskiego, wydawca dziennika „Kijewska Gazeta“, Mikołaj Sołowcow. Należał on do osobistości najpopularniejszych w Kijowie. Na d. 10 stycznia wyznaczono obchód uroczysty dwudziestopięcioletnia jego działalności scenicznej, a dziesięciolecia dramatu w Kijowie. Jubileusz miał być bardzo wspólny. Rada miejska, zakłady naukowe, towarzystwa rozmaite gotowały się do uczczenia jubilatę, który na tydzień przed uroczystością zachorował, a d. 12 stycznia umarł w Odesie. Zamiast jubileuszu odbył się pogrzeb i te same deputacje, które miały uczestniczyć w uczczeniu Sołowcowa, złożyły przygotowane dlań wieńce na jego grobie. Na scenie swego teatru Sołowcow wystawił sztuki Bałuckiego: „Flirt“, „Gęsi i gąski“, „Dom otwarty“ i inne, których przekłady polecał swoim stałym tłumaczom, a jedną podobno sam przetłumaczył. Wystawił też „Wicka i Wacka“ i „Grube ryby“ i nawet „Miód kaszelański“ Kraszewskiego, który w Kijowie nie podobal się zresztą.

Z Zytomierza piszą do nas: Schludnie i czysto wyglądający na pierwszy rzut oka Zytomierz, nie jest niestety istotnie takim, jak to stwierdzili niedawne opatrunki i rewizje sanitarne, podjęte z rozkazu władzy. Najbrudniejszemi, jak się tego należało spodziewać, są domostwa i siedziby żydowskie, osoblwie w dzielnicach, gęsto zaludnionych. Nie mając kanalizacji, musimy się postugiwać wywożeniem nieczystości za miasto, przedsiębiorcy zaś nie zawsze należącej wywiązujać się z tego obowiązku. Częstokroć bowiem zebrane nieczystości w jednej dzielnicy miasta, bywają wylwane w drugiej. Kres temu mogłoby położyć kanalizacja, ale wedle obliczeń technicznych, urządzenie jej najtańszym sposobem kosztowałoby 150 tys. rb. Zbyt to znaczna suma dla naszej, świecącej pustkami kasy

miejskiej. Jarmarki miesięczne odznaczają się dość znacznym ożywieniem i przyciągają liczne zastępy okolicznych gospodarzy. Handel odbywa się przeważnie kołmi, bydlęm i nierogacizną. Głośny proces ks. Jadwigi Jabłonowskiej i p. Henryka Steckiego ze skarbem o grunta przy wiosce Sielecy, jak wiadomo, wygrany, można uważać za zupełnie ukończony dopiero teraz, ponieważ Senat uwzględnił również pretensje ks. Jabłonowskiej i p. Steckiego do wynagrodzenia za korzystanie z ziemi. Skutkiem tego powodowie otrzymają jeszcze 220 tys. rb., niezależnie od przysądzonych poprzednio 280 tys. rb. Ks. Jabłonowska i p. Stecki wygrali również proces z Zytomierzem i ogromny obszar ziemi przechodzi na ich własność. Teraz właśnie pełnomocnik ich, p. Malecki, zwrócił się do zarządu miasta o przedse odgraniczenie i oddanie nowym właścicielom rzeczonego gruntów i w tym celu zarząd miejski zorganizował osobną komisję. W—ta.

Z Wołynia piszą do nas: W miasteczku Iwnicy w gub. wołyńskiej, d. 30 grudnia o północy został zamordowany toporem we własnym mieszkaniu; podczas modlitwy, 70-letni ks. Franciszek Kondracki, kapucyn, proboszcz parafji Iwnickiej. Zabójcą okazał się nałogowy pijak, lat 65, kucharz z profesji, mieszkający od roku przy probostwie na łaskawym chlebie. Wiadomość ta wywarła przynębiające wrażenie na wszystkich, a szczególnie na tych, co osobiście znali ś. p. o. Franciszka. W kilku powiatach, w każdym prawie zamożniejszym domu, równie też, jak w ubogich chatkach znany był o. Franciszek ze swej nad wiek ruchliwości i zapobiegliwości; jemu też zawdzięcza uboga parafja Iwnicka zbudowanie probostwa przy kościele. Żal powszechny i współczucie pozwalają sądzić, że parafianie i liczni znajomi księdza postarają się na święte usypanej mogile w Iwnicy postawić chociażby krzyż, lub skromny pomnik z odpowiednim napisem. Teżet.

Z Moskwy piszą do nas: Mieszkaniec Moskwy, p. Leon Pietkiewicz, otrzymał pozwolenie na otwarcie tutaj księgarni polskiej, dla której już został wybrany lokal naprzeciw kościoła św. Piotra Pawła. Brak księgarni dawno się uczuwać nam dawał, gdyż zarówno w samej Moskwie i w jej okolicach mieszka sporo polaków. — Przybyła tu trupa dramatyczna p. Bolesławskiego i na pierwsze przedstawienie dała „Panją Wołodjowską“ w tużniejszym Klubie Niemieckim. Publiczności stawiło się niewiele; wina to po części p. Bolesławskiego, który nie złożył dostatecznej się zareklamować, więc wiele osób nie o przedstawieniu nie wiedziało. Pobóg.

Z Archangielska piszą do nas: Korespondent z naszego miasta w N-rze 51 „Kraju“ pragnie między innymi otkynowania kościoła, ustawienia pieców, doposażania drzwi w kościele i t. d. Odpowiedz na to bardzo łatwa. Niech tylko znajdą się potrzebne pieniądze, a wszelkie braki będą usunięte. Drugi żal, wyrażony przez korespondenta, zawiera się w zatrzymaniu na plebanji ksiązek, przeznaczonych do użytku parafjan i odkładaniu skatalogowania „na potem“. Korespondent pod tym względem się omylił. Katalog bowiem od czterech miesięcy sporządzono i od tego czasu biblioteka stoi otworem dla publiczności. Ogłoszenia publicznego o otwarciu biblioteki nie było i prawdopodobnie nie przedko będzie, gdyż bez upoważnienia władzy nie mamy na to prawa, ale każdy o istnieniu biblioteki może wiedzieć i korzystać z niej w sposób prywatny. Ostatni zarzut dotyczy odkładania wyboru syndyków na kilkanaście miesięcy. W tym względzie rzecz tak się przedstawia: Syndyce, podług istniejącego prawa, są wybierani na trzy lata. Otóż wybranych przed dwoma laty syndyków mieliśmy aż do lipca 1901 r., w lipcu zaś jeden z nich, p. Klejder, opuścił Archangielsk na zawsze, drugi zaś, p. Kownacki,

umarł. Nowe wybory wyznaczone były na d. 25 listopada tegoż 1901 r. Zkąd więc korespondent wyciągnął te kilkanaście miesięcy, nie wiadomo. Nikt również nie pamięta czasów, kiedy gremjalne zebrania parafjan odbywały się trzema tylko głosami wyborczymi. *Ks. A.*

□ **Z Jekaterynowawia** piszą do nas: Przed kilku miesiącami otwarto uroczyste bezpłatną bibliotekę przy miejscowym kościele katolickim. Początek w każdej sprawie jest trudny, więc i u nas nie obyło się bez trudności, tembardziej, że kościół nasz nie posiada odpowiednich funduszy. i wszystko opiera się na ofiarności ludzi dobrej woli, od których zależą dalsze losy młodej instytucji. Historia powstania biblioteki naszej jest następująca: Oddawna już niektórzy z polaków tutejszych oddawali księżu zbywające książki i roczniki, w celu utworzenia z czasem biblioteki parafjalnej. W ten sposób nazbierało się trochę książek, które skatalogowano i umieszczono w szafie, nie roztrwonivszy ich, jak to się zdarzało gdzieindziej. Mając już taką podstawę, w r. z. w dniu jubileuszu Sienkiewicza zebrano 116 rb. na kupno nowych książek i uzyskano pozwolenie władzy miejscowej na otwarcie biblioteki parafjalnej. Obecnie biblioteka posiada dwa tys. tomów i czytelników przeszło dwustu. Praktyka świadczy o wielkiej pożyteczności nowej instytucji i o tem, że należy zapewnić jej istnienie oraz dalszy rozwój. *A. H.*

□ **Z Tomska** piszą do nas: W imię prawdy i bezstronności proszę o wydrukowanie następujących słów kilku: W N-rach 45 i 50 „Kraju“ ukazały się sprostowania korespondencji mojej, pomieszczonej w N-rze 33 w r. zeszłym. Nie będę dotykał szczegółowo drobnej kwestji o obrazie Matki Boskiej, gdyż w odnośnym ustępie znalazły się błędy nietylko moje, lecz i korektorskie. Zaznaczam tylko, że podczas pisania korespondencji obraz nie był odnowiony, napisy były niejasne, i ztąd wynika omyłka. Niezgoda naszych sądów dotyczy ważniejszej sprawy, mianowicie stosunków obyczajowych wśród ludności polskiej. Być może, iż ks. Demikis nie mógł dokładnie zbadać tych stosunków, gdyż mieszka tutaj za ledwo od kilku miesięcy, ze swej zaś strony oświadczam, że pisząc o związkach nielegalnych, miałem na myśli ogół polaków zamieszkujących Syberję, nie zaś wyłącznie mieszkańców Tomska. Zresztą sam ks. D., mówiąc o sporej liczbie „koźłów między owieczkami“, poniekąd sąd mój potwierdza. Kwestji pobożności tutejszych polaków nie dotykałem wcale, piłem tylko o obojętności religijnej, i na dowód tego przytaczam parę cyfr. Według dat kościelnych mieszka w Tomsku 3 tys. katolików, statystyka zaś policyjna wykazuje ich 5 tys., więc około dwóch tys. ludzi niczem nie zaznaczyło w kościele swego istnienia. Zbierając wiadomości o polakach mieszkających w Syberji, prowadzę korespondencję z wielu proboszczami. Od niektórych otrzymałem wyczerpujące wiadomości, opatrzone zwykle utyskiwaniami na zepsucie obyczajów. Jeden z moich korespondentów daje następującą charakterystykę swoich parafjan: „Zdemoralizowanie szerzy się nie na żarty. Konkubinat, karcjarstwo, szwindlerstwo i t. d., i t. d., trzyma się naszych rodaków, chociaż z drugiej strony nie brak tam dobrych chęci, wzniosłych aspiracji i dążeń“. *Kruk.*

□ **Finlandja.** W „Prawit. Wiestn.“ czytamy: „D. 22 grudnia r. z. Jego Cesarska Mość Najmilszej rozkazał raczy, aby niezależnie od ogólnego sprawozdania o stanie W. Ks. Finlandzkiego, były składane przez ministra sekretarza stanu do uznania Monarszego najpoddanejsze sprawozdania do roczne oddzielnie o stanie każdej guberni“. W tymże dzienniku urzędowym ogłoszono: „D. 22 grudnia r. z. Jego Cesarska Mość na skutek najpoddanejszego raportu Cesar-

skiego Senatu Finlandzkiego, uznał za potrzebne postanowić: za wyroczenia i niedbalstwo służbowe, jak również za postępowanie, nieodpowiadające stanowisku i obowiązkom służbowym funkcjonariusza i urzędnicy Senatu, na skutek raportu prezesa odpowiedniego departamentu, mogą być przez departament karani: napomnieniem, karą pieniężną w rozmiarze nie wyższym nad 2-miesięczną pensję, zawieszaniem na urzędzie nie dłuższym, jak na czas 6 miesięcy z pozbawieniem całej lub części pensji. Kary te nakładają się po uprzednim zażądaniu tłumaczenia od oskarżonego“.

□ **W Finlandji** wielkie wrażenie zrobiła broszura profesora Danielsona p. t.: „*Mihin suuntaan*“ („W jakim kierunku?“). Niektóre dzienniki helsińskie nazywają ją „książką niebezpieczną“, a pewna część księgarzy postanowiła ją bojkotować, odmówivszy sprzedaży tej książki w swoich magazynach. Organ urzędowy „*Finl. Gaz.*“ przypisuje ważne znaczenie tej broszurze, jako dowodowi niewątpliwemu, że pomiędzy fińskim i szwedzkim żywiołami kraju istnieje walka ideowa. Prof. Danielson Towarzystwem gazowem, poczem miasto będzie zmuszone bądź przedłużyć kontrakt jeszcze na lat 10, bądź wykupić zakłady gazowe z wielką dla siebie stratą; a nie trzeba być wielkim pesymistą, aby nie wierzyć w oświecenie Warszawy elektrycznością do tego czasu. Niektóre projekty, jak np. budowa portu w Warszawie, są wprost niewykonalne bez uprzedniej regulacji Wisły. Co się tyczy wywozu mięsa bitego do Anglii, dość będzie przypomnieć odpowiedź, daną przedstawicielom rolników i hodowców rosyjskich, którzy udali się do Anglii dla zawiązania stosunków handlowych, na bankiecie u londyńskiego lorda-majora: «Jeżeli chcecie, abyśmy kupowali wasze mięso, sprowadźcie od nas reproduktory, poprawcie swoją rasę bydła, a później przyjdźcie do nas z propozycją—wówczas zobaczymy!»

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Z NAD WISŁY, 26 stycznia.

(Szkoła sztuk pięknych w Warszawie. Olbrzymie projekty w rzeczywistości oświecenia. Ze spraw gminnych. W kwestji opłat paszportowych.)

+ Ubiegły tydzień zaznaczył się w kronice syreniego grodu dwoma niespodziankami, na skutek których wśród mieszkańców Warszawy zapanowała radość powszechna. Niestety, radość ma zwykle to do siebie, że w większości wypadków pociąga za sobą rozczarowanie. Więc najprzód nadeszła z Petersburga wiadomość, że ministerstwo Cesarzowskiego Dworu zezwoliło na otwarcie w Warszawie projektowanej szkoły sztuk pięknych, z pewnemi atoli zmianami w ułożonej przez założycieli ustawie. Założycielami tej, tak pożądanej i tak dawno oczekiwanej krzewicielki sztuk pięknych w naszym mieście są, jak wiadomo: ordynat hr. Adam Krasiński, ordynat hr. Maurycy Zamoyski, redaktor «Słowa» mecenas Lucjan Wrotnowski, dr. Teodor Dunin, p. Stanisław Rotwand i p. Mathias Berson. Od nich więc będzie zależało zgodzić się na zaprojektowane przez ministerstwo Dworu zmiany w ustawie, czy też, o ile uznają to za niewykonalne, zrzec się myśli założenia w Warszawie szkoły sztuk pięknych, przynajmniej w obecnych warunkach. W każdym razie wymaganem jest porozumienie się w tej kwestji wszystkich założycieli, porozumienie się zaś takie nie może nastąpić tak prędko, gdyż ordynat hr. Krasiński przebywa po za granicami kraju, ordynat hr. Zamoyski, którego stan zdrowia już znacznie się polepszył, wyjedzie prawdopodobnie na dłuższy czas zagranicę dla rekonwalescencji. Uważać dziś powstanie szkoły sztuk pięknych w Warszawie za fakt dokonany, byłoby co najmniej przedwczesnem.

Jeszcze gorzej ma się w rzeczywistości z pogłoską, puszczoną przez «Kurjer Warszawski» w sprawie olbrzymich projektów, z którymi mieli przyjechać kapitaliści angielscy, rozporządzający trzy-

dziesiąt milionami rubli. Chodzi tu o budowę rzeźni centralnej, bulwarów nad Wisłą, portu w Warszawie, doków warantowych, tramwajów elektrycznych ze znacznie rozszerzoną siecią, wreszcie organizacji wywozu bitego mięsa do Niemiec i Anglii. Boć chyba każdy zrozumie, że studja przedwstępne i opracowanie każdego z wymienionych powyżej projektów, zajmie co najmniej kilka lat czasu, a pertraktacje o doprowadzenie ich do skutku, ciągnące się u nas niesłychanie długo, odstręcają najwytrwalszych projektodawców i najcierpliwszych kapitalistów. Dosyć przypomnieć tu los projektowanych przez Devarsa bulwarów nad Wisłą. Przecież zresztą w roku zeszłym obchodziliśmy dwudziestopięcioletni jubileusz powstania projektu budowy warszawskiej rzeźni centralnej, o której dotychczas niewiadomo czy, gdzie i kiedy stanie! Za kilka lat kończy się termin kontraktu w dessauskiem Towarzystwem gazowem, poczem miasto będzie zmuszone bądź przedłużyć kontrakt jeszcze na lat 10, bądź wykupić zakłady gazowe z wielką dla siebie stratą; a nie trzeba być wielkim pesymistą, aby nie wierzyć w oświecenie Warszawy elektrycznością do tego czasu. Niektóre projekty, jak np. budowa portu w Warszawie, są wprost niewykonalne bez uprzedniej regulacji Wisły. Co się tyczy wywozu mięsa bitego do Anglii, dość będzie przypomnieć odpowiedź, daną przedstawicielom rolników i hodowców rosyjskich, którzy udali się do Anglii dla zawiązania stosunków handlowych, na bankiecie u londyńskiego lorda-majora: «Jeżeli chcecie, abyśmy kupowali wasze mięso, sprowadźcie od nas reproduktory, poprawcie swoją rasę bydła, a później przyjdźcie do nas z propozycją—wówczas zobaczymy!»

Przedstawiciele angielskich kapitalistów przyjechali do nas dla rozejrzenia się w interesach. Przedsiębiorstw, następczących korzystną lokację dla kapitalistów zagranicznych, jest u nas dużo, gdyż Warszawa pod wielu względami jest najgorzej urządzonym z wielkich miast europejskich. Ale pomiędzy ustami a brzemieniem pułahu jest przestrzeń daleka. Po ucieczce pisarza gminnego w Prażce w guberni kaliskiej, wykryto w kasie gminnej brak 58 tysięcy rubli, a w gminie Krasnaw w guberni siedleckiej, wójt sprzeniewierzył 6 tysięcy rubli z kasy gminnej i tysięcy rubli, pobranych od mieszkańców gminy przez sołtysów. Donosi o tem «Gazeta Świąteczna», która też słusznie zapytuje, kto wynagrodzi tę stratę? Warto, żeby uczeni prawnicy poświęcili trochę czasu i pracy na wszechstronne wyświecenie tej kwestji. Ze swojej strony «Gazeta Świąteczna» na postawione zapytanie odpowiada w sposób następujący:

«Sądymy, że jedyną drogą jest poszukiwanie swych strat na gminie: gmina znowu powinna swojej szkody dochodzić i poszukiwać najpierw na tych, którzy zaniedbali swoich obowiązków—z jednej strony pilnowania pieniędzy, rachunków i ksiąg kasowych, a z drugiej—dozoru nad czynnościami kasy».

Niestety, w olbrzymiej większości wypadków odpowiedzialność majątkowa tych osób jest więcej niż problematyczną.

Prawie wszyscy, zmieniający ekspirowane paszporty, wysyłają pod adresem

odnośnej władzy i rubla na zmianę paszportu, chociaż w myśl nowych przepisów opłata paszportowa zniżona została do 25 kop. Nadpłacone 75 kop. w niektórych miejscowościach idą do kasy gubernialnej, gdzie zapisane zostają jako depozyt do zwrotu osobie interesowanej, w innych zaś, z powodu braku dozoru, dostają się w ręce kancelistów, którzy robią sobie z tego dodatek do pensji. Z tego powodu pisze słusznie «Warsz. Dniownik», że taki sposób załatwiania się z niepotrzebnie nadesłanemi kopiejkami w żadnym razie nie powinien być tolerowany, gdyż owa nadpłata dla wielu biedaków może być nader uciążliwą.

B.

Z POW. BĘDZIŃSKIEGO, w styczniu.

(Napływ przemysłowców niemieckich. Kilka cyfr ze statystyki budowlanej. My albo niemy.)

++ Okolice nasze, wskutek ułatwienia przejścia granicy za półpaskami, roją się od różnych teutońskich przedsiębiorców, kupców, agentów handlowych, rzemieślników, umiejących wywahać każdy dobry interes i uchwycić go w swoje szpony, co tem łatwiej im się udaje, że mają dobrych informatorów i popleczników w licznie dawniej tu osiadłych pobratymcach. Pobratymcy owi—to istna armja, składająca się z dowódców, jenerałów, oficerów i szeregowców przemysłu niemieckiego, rozlokowana po fabrykach, kopalniach i różnych przedsiębiorstwach. Panowie ci, mając przewagę kapitału nad pracą, utrzymują całą falangę tak zw. «słomianych» dyrektorów, inżynierów i majstrów, którymi zaslaniają się we wszystkich wypadkach wobec praw miejscowych. Nic nie dzieje się bez ich wiedzy i woli; najmniejszy obstalunek, najmniejszej nawet wagi sprawy—muszą przejść przez ich kontrolę—i pomimo szumnego zawsze podpisu na dokumentach, np. «dyrektor-zarządzający» lub «inżynier» bez umieszczonego zygaku przy tym podpisie upoważnionego do tego teutońskiego osobnika, dokument taki ani w kasach fabrycznych, ani bankach—słowem nigdzie, nie ma żadnej wartości.

Nic też dziwnego, że w takich warunkach przemysł polski szwankuje, a przedsiębiorcy nasi i rzemieślnicy muszą dawać się tem, co im z wozu niemieckiego spadnie.

Pozwolę sobie przytoczyć tu niektóre statystyczne dane z dziedziny przemysłu budowlanego. I tak w ciągu ostatnich trzech lat firmy tutejsze przysporzyły ogromną sumę niemoom w ten sposób:

Huldschinsky i S-wie, fabryka rur żelaznych w Sosnowcu, budując zakłady metalurgiczne w Zawierciu, powierzyła roboty budowlane przedsiębiorcy Brigierowi z Katowic na sumę 400 tys. rb. Temuż przedsiębiorcy powierzyła zakłady elektro-chemiczne w Zabkovicach budowę fabryki na 300 tys. rb.; zakłady metalurgiczne B. Hantke w Częstochowie—na sumę 700 tys. rb., a budując się kopalnie węgla «Grodziec» pod Będzinem—roboty budowlane na sumę 300 tys. rb. Dalej: kopalnie węgla «Czeładź» pod Sosnowcem dostarczyły przedsiębiorcy Damme'mu z Bytomia robót budowlanych na sumę 150 tys. rb.; Tow. Sosnowickie—przedsiębiorcy Koelerowi na sumę 200 tys. rb.; fabryka kotłów

Fitzner i Gamper w Sielcu—przedsiębiorcy Grünfeldowi z Katowic na sumę 300 tys.; firma Ditel w Sosnowcu—temuż przedsiębiorcy powierzyła budowę pałacu w Sielcu i koszar dla pułku kozaków w Będzinie na sumę 400 tys.; firma Openheim w Sosnowcu oddała przebudowę pałacu w Sosnowcu i fabrykę blachy cynkowej pod Będzinem temuż przedsiębiorcy na sumę 100 tys. rb. Ogółem więc zabrali nam Niemcy za wystawienie tych budowli trzy miliony trzysta tysięcy rubli!

Ile z tej sumy wywieziono do Prus—obliczyć niepodobna, ale to pewna, że przedsiębiorcy ci, po zagarnięciu robót, ignorują zupełnie miejscowe siły rzemieślnicze, oprócz prostych robotników, używanych do najcięższych robót. Zjawiają się oni na roboty z całą falangą majstrów i rzemieślników niemieckich, utrzymują administrację niemiecką i sprowadzają przeważnie do robót materialną i wyroby niemieckie. Nie boją się oni odwetu, bo nasi przedsiębiorcy i rzemieślnicy na ziemi pruskiej są najzupełniej ograniczeni przez miejscowe prawa niemieckie, tak iż im nawet na suchy kawałek chleba z wodą tam zarobić niewolno.

Taki stan rzeczy bardzo ujemnie wpływa na rozwój naszego przemysłu i rzemiosła, a przecież nie brak nam już dostatecznie wyrobionych i wykwalifikowanych budowniczych, inżynierów i majstrów różnych rzemiosł, którzy jednak, czując się do walki bezsilnymi, wiodą życie z dnia na dzień, bo nawet najniższe oferty naszych rzemieślników przez niemieckich przedsiębiorców nie bywają uwzględniane.

To dzieje się w naszym powiecie, a chyba nie lepiej dzieje się w handlu i w innych miejscowościach kraju, graniczących z Niemcami i będących w tych samych warunkach.

Przemysłowcy niemieccy dość już skorzystali z naszej niewiadomości lub niedoświadczenia. Czas już nam zakładać własne stowarzyszenia przemysłowe; czas już wystąpić z podaniami o przejrzenie i zmianę jeszcze obowiązujących, lecz już przestarzałych praw, jak np. ustawy rzemieślniczej z r. 1816, stworzonej u nas, kiedy przemysł nasz nie istniał i kiedy zachodziła potrzeba sprowadzania zagranicznych rzemieślników i przemysłowców dla nauczania nas. Musimy ułatwić sobie pracę jawną dla zabezpieczenia bytu naszych dzieci, ułatwić im i sobie kształcenie się fachowe.

Prawo fizyczne powiada: «na jednym miejscu dwa obce ciała jednocześnie znajdować się nie mogą». My zatem u siebie, albo niemy?

H.

++ Odebraliśmy list od jednego z obywateli ziemskich w Królestwie, malujący względność, jakiej doznają w Królestwie szkoły niemieckie. Przytaczamy parę ustępów z tego listu, zastrzegając się zarówno przeciwko treści jak i wywodom autora.

«Dosyć jest spojrzeć na Łódź, Sosnowiec Zawiercie, Tomaszów i mnóstwo innych miast i osad, rozsianych pomiędzy wymienionemi miejscowościami... W całym Powiatu, od Granicy do Kazimierza, człowiek czuje się zupełnie, jakby był w środku Niemiec. Dziwnie u nas odbija się od faktów, jakie zaszły we Wrześni, kompletna tolerancja, a nawet protekcja, jaką tu kolonisci niemieccy się cieszą. Niemcy, osiedli tu od

lat kilkudziesięciu, mają wśród siebie zaciętych hakatystów, szerczących tę wstrętną agitację po za granicami Niemiec. Nietylko posiadają swoje niemieckie szkoły z odpowiednimi nauczycielami, ale w szkołkach gminnych, o ludności polskiej, gdy przypadkiem znajdzie się choć jeden ewangelik pochodzenia niemieckiego, nawet doskonale po polsku mówiący, kilkadziesiąt dzieci polskich po odmówieniu swej modlitwy czeka, dopóki ewangelik swej modlitwy po niemiecku nie odmówi“.

W. R.

++ Warszawski okrąg naukowy zażądał od naczelników dyrekcji naukowych w Królestwie (wyłącznie w miastach gubernialnych) opinii, jakie środki mogłyby być przedsięwzięte przez władzę naukową w celu przygotowania nauczycieli-kantorów, znających dobrze język rosyjski, jako też w celu podniesienia znajomości języka rosyjskiego wśród tych osób, które są już nauczycielami w kantoratach i wogóle dla podniesienia nauki języka rosyjskiego w tych naukowych zakładach niższych.

++ **Radomskiego** donoszą do dzienników warszawskich, że kolonisci niemieccy, zamieszkali w Pęclawicach, Sielcu, Ogledowie i Luszczy, otrzymali od komisji kolonizacyjnej w W. Ks. Poznańskiem piśmienną propozycję osiedlenia się w Książewie na bardzo korzystnych warunkach. Przyniesiono im do wyboru spis wielu miejscowości i majątków, które, jak widać z planów, są już podzielone i pobudowane dla każdego kolonisty. Propozycja ta podobała się bardzo kolonistom i w tym celu wysyłają deputację, która ma zbadać na miejscu wszystkie warunki osiedlenia się. Podobne propozycje otrzymało wielu osadników niemieckich w całym kraju, a także w guberniach południowych Rosji.

++ **Łodzi** piszą do nas: Ks. Karol Szmidel, proboszcz staromiejski, odczuwając brak instytucji, któraby się zaopiekowała opuszczonemi dziećmi na Bałutach, zainicjował utworzenie schronienia dla sierot wyznania katolickiego i w tym celu poczynił już odpowiednie starania. — W tych dniach odbył się tu zjazd inżynierów cywilnych, zamieszkałych w Królestwie. Wjeździe uczestniczyło przeszło 40 osób. — Dochodzą nas wiadomości o wielkim nagromadzeniu się nierozprzedanych towarów bawełnianych na składach przemysłowców moskiewskich. Fabrykanci łódzcy obawiają się więc, aby obniżane na tamtejszym rynku ceny, pierwej ustanowione, nie wpłynęły niepomysłnie na dość ożywiony obecnie pokup towarów miejscowych.—Dwaj przemysłowcy tutejsi, pp. Biederman i Barciński, zawiązują „Towarzystwo upiększenia miasta i okolic“. — Wskutek braku miejsc w tutejszych rządowych zakładach naukowych, gro no mieszkańców wystąpiło z prośbą do władzy o utworzenie w Łodzi drugiego gimnazjum męzkiego. Wobec aktualności sprawy i rzeczywistej potrzeby tej szkoły, spodziewana jest przychylna decyzja ministerstwa oświaty. — Na ostatnim posiedzeniu urzędu starszych kupców m. Łodzi podniesiono projekt założenia resursy kupieckiej, upoważniającej zarazem kilku członków do opracowania odpowiedniej ustawy. *M.*

++ **Kielce.** Mieszkańcy m. Wolbromia—jak pisze „Gaz. Polska“—przyszli do przekonania, że nie bojkot towarów pruskich, ale rozwój przemysłu swojskiego może choć w części wyzwolić kraj z niemieckiej przewagi ekonomicznej. Postanowili przeto wyjednać dla siebie szkołę tkacką i zebrali na ten cel pewną sumę.

EKSCESY LWOWSKIE.

We Lwowie, wieczorem d. 21 stycznia, młodzież gimnazjalna, wracająca tłumnie z Lyczakowskiego cmentarza, dopuściła się ekscesów, które przynębiające wywarły wrażenie we wszystkich warstwach społeczeństwa. Grono młodzieży, przeważnie gimnazjalnej, pomaszzerowało ku pomnikowi Agenora Gołuchowskiego, pragnąc, jak to już razy kilka bywało, zmanifestować swoje uczucia przeciwko «zdrajcy», który Galicji wyjednał polskie szkoły, sądy i administrację. Chodziło o dopadnięcie pierwszego lepszego placu dla urzędnika «demonstracji». Gdy policja wyparła manifestantów z obranej drogi, rzucano się do szukania — konsulatów. Tłum dopadł w ulicy Kraszewskiego do konsulatu rosyjskiego i, pasując się z nadbiegłą policją i wojskiem, usiłował zaryć okna i drzwi konsulatu — kulami śniegu. Po opanowaniu manifestacji, aresztowaniach i rozjeździe młodzieży, stała przed konsulem straż huzarów, którą późnym wieczorem ściągnięto. Nazajutrz dopiero spostrzeżono na godle konsulatu nieznaczne uszkodzenie, pochodzące z niewiadomej ręki. Niemniej przeto namiestnik Leon hr. Piniński pośpieszył przed południem 23-go złożyć w imieniu cesarza Franciszka - Józefa ubolewanie konsulowi rosyjskiemu z powodu zajścia, którego ulica Kraszewskiego była widowiskiem. Lwowski konsul rosyjski, Pustoszkina, bawi obecnie w Petersburgu, a zastępca jego, nie był obecny w gmachu konsulatu podczas odbywającej się przed nim demonstracji.

Cała prasa galicyjska (z wyjątkiem dwóch odosobnionych głosów: «Naprzodu» oraz «Kurjera Lwowskiego») potępiła ekscesy szkolnej młodzieży. Podajemy wyciągi z najwybitniejszych dzienników, wymowniejsze, niż wszelkie omówienia:

«Czas».

«Słyszając tylko o zajściach i wybrykach we Lwowie, a nie widząc zblizka, kto tworzy tę demonstrację gawiedzi, przejmujemy się obawą, czy postępy, uzyskane z takim wysiłkiem rozumu przez polskie społeczeństwo po ostatniej narodowej katastrofie, nie chwieją się i nie idą na marne.

«Obawa ta znika, gdy się dowiadujemy, że ta «ludność» demonstrująca są: zbalamucona przez agitatorów młodzież, uliczne rzesze miejskich próżniaków i rybacy w mętnej wodzie, zjawiający się wszędzie dla połowu, gdzie tylko widać węć.

«Szkody takich ekscesów, szkody zacieży przedziej, czy później na nas nie z winy społeczeństwa, ale z winy niesumiennej i zaślepionych jedno-

stek, oddziaływających na młodzież, nie-doświadczenie lub lenistwo myśli owych krzyczących kilku setek.

«Trudno było doprawdy określić charakter ostatnich ekscesów. Demonstracja przed konsulem rosyjskim nie da się w żaden sposób wytłómaczyć instynktem tłumy w obecnej chwili, gdy z pośród rosyjan i prasy rosyjskiej po wyroku gnieźnieńskim odezwały się głosy sympatii i współczucia dla nas. Widać więc była tylko *chęć demonstrowania przeciwko wszystkim i o wszystkim*. Bo co więcej?

«Ci «operatorzy na ludzkiej głupocie» chcieli mieć, oprócz konsulatu niemieckiego i rosyjskiego, jeszcze i symbol trzeciego «wroga» i zainicjowali krzyki przy pomniku męża stanu, który niespożyte zasługi położył w Austrii, przyczem naturalnie nie chcieli pamiętać, jakie miał zasługi dla społeczeństwa polskiego.

«Bezdenno nierozum lub przewrotność tych polityków, upatrujących «wszech-polskość» w walce na trzech frontach, świecili wczoraj sukces w demonstracjach ulicznych i w terrorystycznym napadzie na człowieka, który wobec tych obrońców wolności tem zawinił, że z wolności przekonań korzystał. Mielimy wczoraj i onegdaj przedsmak tej politycznej roboty, która znękany i biedny naród poddaje do ustawicznej wivisekcji, nie dając mu chwili spokoju, nie pozwalając mu na normalną pracę, wstrząsając nim ciągle i wywołując konwulsje, czyniące w końcu z najzdrowszych ludzi charłaków i kaleki.

«Wczorajszy dziennik urzędowy donosił, że namiestnik kraju w imieniu i z polecenia cesarza był u konsula rosyjskiego. Nie mogło być inaczej. *Ubolewają wszyscy poważni i patrijotyczni członkowie naszego społeczeństwa z powodu ekscesów*, które ten krok uczyniły koniecznym. Na szczęście zanadto zdrowym, silnym i zahartowanym jest to społeczeństwo, aby miało cierpieć z powodu czynów garstki. Głupstwu nakazuje milczenie, szaleńców uczyni nieszkodliwymi, a przestępców ukarze».

«Przedświt».

«Nikt nie tłumaczy szlachetnego zapału młodzieży, ale przed nierozsądnymi a bezcelowymi porycami jeszcze raz ostrzeżdz młodzież, powinni kierownicy jej, rodzice i nauczyciele. Chcemy też wierzyć, że i wczoraj młodzieńcy, zbyt krewcy i do czynów pochopni, dali się porwać kilku lub kilkunastu nierozważnym.

«Podczas ostatnich demonstracji młodzieży lwowskiej zdarzył się fakt niezwykły, nasuwający najrozmaitsze domysły i podejrzenia. Po demonstracjach w ulicy Kraszewskiego, gdzie znajduje się konsulat rosyjski, nie zauważono żadnego uszkodzenia herbu rosyjskiego, i wszystkie dzienniki w sprawozdaniach swych zgodnie skonstatowały, że herb rosyjski nie został uszkodzony, że nawet *nikt z młodzieży do herbu rosyjskiego pocisków nie mierzyl*; pociski zresztą były przeważnie z kul śnieżnych, a więc nawet, gdyby były w herb celowane, nie mogłyby go uszkodzić; a faktem jest również, że ani jednej szyby w konsulacie nie wybito!

«Dziwna rzecz, że na drugi dzień po demonstracjach, kiedy w mieście całem panował już spokój zupełny, zauważono,

ż herb nad konsulem rosyjskim jest uszkodzony; widać w nim dziurę, niby od pocisku ostrego kamienia. Oczywiście rzecz, że uszkodzenie herbu nastąpiło już po demonstracjach, prawdopodobnie ręka jakiegoś tajemniczego sprawcy pod osłoną nocy uszkodzenia tego dokonała.

«I tu powstaje pytanie: kto sprawca? Nie młodzież polska, nie gimnaziści, działający pod pierwszym wrażeniem w swawoli młodzieńczej, bez rozmysłu i wyrachowania; skoro bowiem gimnazjstom podczas samych zaburzeń nie zależało na tem, żeby herb rosyjski zniewały, czyż można przypuszczać, by uczynili to potem z rozmysłem i w tajemnicy? Sprawca działał rozmyslnie i podstępnie: musiał to być ktoś, komu z czysto politycznego wyrachowania chodziło o to, ażeby podsunąć i imputować młodzieży polskiej czyny, zwracające się z całą radykalną bezwzględnością przeciwko Rosji».

«Gazeta Narodowa».

«Cała ta awantura uliczna nie kwalifikowałaby się pod inną rubrykę, jak tylko «z kroniki policyjnej», gdyby nie przypadkowy teren, na którym jej ostatni epizod się rozegrał. Mamy dla młodzieży wiele wyrozumienia i dużo pobłażliwości — stanowczo jednak *żądać musimy, aby choćby najenergiczniejszymi środkami uniemożliwiono młodzieży uczęszczać na demonstracje uliczne polityczne*.

«Nie wątpimy, że młodzież, która wczorajszą demonstrację urządziła, dziś już tego żałuje — nie weźmiemy atoli jej władzom przełożonym za złe, jeśli przewódców odpowiednio ukarzą i raz na zawsze tym sposobem położą tamę, aby ci, którzy jeszcze uczyć się powinni, uczyli się, a nie bezmyślną demonstracyjną politykę uprawiali.

«Społeczeństwo nasze ma prawo i stawia wobec młodzieży polskiej znacznie wyższe wymagania; wielkiem nieszczęściem byłoby, gdyby w swych nadziejach co do swej młodzieży się zawiodło. Wszak w tej młodzieży cała przyszłość narodu.

«W końcu mała uwaga. Wszędzie i zawsze znajdują się jednostki, które żyją z niepokoju i dlatego niepokój radzi wywołują lub wywołują się starają. I wczoraj takich nie brakło. Wśród tłumy słyszano wczoraj odosobnione okrzyki i próby śpiewu, z którymi polska młodzież nie ma i nie może mieć nic wspólnego. Takich jednostek strzedz się musi młodzież, aby jej z nimi nigdy nie solidaryzowano, aby pod ich cichym naporem nie zбочyla nigdy ani na cal ze swej drogi».

«Pożalowania godny, bezmyślny wybryk wtorkowy młodzieży skarciło i potępiło nasze społeczeństwo, a pośród prasy polskiej nie znalazł się ani jeden dziennik z zabarwieniem narodowym, któryby chwalił owe awantury. Nawet najbardziej radykalne i zazwyczaj różne demonstracje zachwalające gazety uznały tym razem, że młodzież «posunęła się za daleko». Nie wiemy, jakim sposobem przyszło do uszkodzenia godła państwowego Rosji i nikt nie zdołał dostrzedz, kiedy się to stało. Fakt ten uważamy za nader karygodny; w każdym bowiem państwie osoba reprezentanta i godło obcego państwa są nietykalne i to w ta-

kim nawet razie, gdy stosunek wzajemny danych państw jest naprężony czy nieprzyjazny. Reprezentacja sąsiedniego mocarstwa otrzymała pełne zadośćuczynienie przez to, że namiestnik udał się do konsulatu rosyjskiego z polecenia monarchy i tam dał wyraz ubolewaniu. Z drugiej strony władze bezpieczeństwa pociągnęły winnych do odpowiedzialności, władze szkolne i prasa stołeczna skarciły sprawców awantury. Wszystko zatem, co w danym wypadku uczynić należało, i można było, zrobiono i o tem wszystkim też dowiedziały się czynniki interesowane.

«Równocześnie nastąpiło to, czegośmy się obawiali, przed czem przestrzegaliśmy: wroga polakom prasa użyła wtorkowego incydentu na swój sposób, do swych niecznych celów i wysłała się, aby przy tej sposobności jaknajwięcej szkody wyrządzić społeczeństwu polskiemu.

«Pierwsza z wrogich nam gazet «Haliczanin» pracuje bez wytchnienia, aby rzeczonemu awanturcom nadać sztucznie jaknajwiększe rozmiary i całą młodzież i społeczeństwo przedstawić w jaknajbardziej ciemnym oświeceniu. Tej swojej kreciej robocie poświęca «Haliczanin» codziennie (od środy) kilkometrowe artykuły na naczelnym miejscu. Dawno już wyczekiwał z upragnieniem mieniący polaków dziennik ruski na sposobność «przysłużenia się» nam, i doczekał się tego. Nie myślimy polemizować z tem, co zła wola i przewrotne zamiary podkopywały; rzucimy tylko garść promieni na niektóre fakty.

«W czwartkowym artykule wstępnym napisał «Haliczanin» na samym początku, że «zaszedł we Lwowie fakt, mający poważne znaczenie polityczne», w numerze zaś następnym także na naczelnym miejscu powiedzianem jest: «Takiej w swych rozmiarach szerokiej, ze względu na czas trwania rozległej demonstracji, z jawnie politycznym piętnem, Lwów jeszcze nie widział...; w demonstracji uczestniczyło kilka tysięcy młodzieży». W tym względzie powołamy się na źródło urzędowe, «Gazetę Lwowską», która podaje, że na cmentarzu było około 250 studentów, a na ul. Kraszewskiego około 700. Ze było zbiegowisko, dziwić się nie można, gdyż w wielkiem mieście wywołać je może snadnie i najbardziej blahy wypadek. Co się zaś tyczy tego, że takiej szerokiej demonstracji Lwów jeszcze nie oglądał, to widocznie «Haliczanin» ma bardzo krótką pamięć. Tyle *quoad quantum*, a teraz *quoad quale*.

W tłumie ekscedentów widzieliśmy uczniów klas niższych szkół średnich, widzieliśmy szczerpłą garstkę słuchaczy uniwersytetu, w znaczniejszej liczbie byli słuchacze techniki; przeważną jednak ilość demonstrantów stanowili chłopcy terminatorzy i socjaliści młodzi i starsi; ci właśnie wywołał «piekielną muzykę» i obecność swą jaskrawo zaznaczyli, śpiewając doniosłym głosem kilkakrotnie hymn socjalistów «Czerwoną sztandar». Dlaczego «Haliczanin», poświęcając awanturcom kilkometrowe artykuły, o tem wszystkim — acz wiedział — ani słówkiem nie wspominał? Ot poprostu dlatego, bo by nie mógł dedukować, że incydent miał *ważne polityczno-społeczne znaczenie*.

Bezwarunkowo *wszystkie dzienniki polskie* zgodnie, bo i «Słowo Polskie» i «Reforma», które do konserwatywnych

zaliczane być chyba nie mogą, *demonstrację potępiły*, a tylko usiłowały znaleźć pewne okoliczności łagodzące dla młodzieży. Tymczasem «Haliczanin», zamiast cytować poszczególne głosy dzienników polskich, tak ogólnie pisze: «Jak zawsze, tak i teraz postąpiły gazety polskie niewłaściwie. Zamiast młodzieży polską, osobliwie gimnazjstów przyzwad do porządku i poważnie wskazać im na to, co ich rzezcza — na książkę, nie zaś demonstrację polityczną; zamiast, aby nakłonić czy uprosić władze szkolne, aby wprowadziły karność w szeregi młodzieży, gazety polskie zwalają całą winę na agentów prowokacyjnych».

We wczorajszym znowu numerze piśmie «Haliczanin», że politykom polskim «chciałoby się z jednej strony, aby o tej demonstracji wiedziano w Europie (*sic!*) z drugiej zaś chcieliby oni, aby o tem nie wiedzieli, a co najmniej wiedzieć nie chciała oficjalna Rosja». Sąd swój o incydencie wtorkowym wypowiedziała prasa polska jasno i szczerze; że zaś «Haliczanin» wysłała się, aby z muchy uczynić słonią, to widoczne z przytoczonych kilku ustępów tego dziennika o całej aferze...

W zakończeniu artykułu p. t. «*Oskorbienie (znieważenie) herbu rosyjskiego*» — nie widzi już «Haliczanin» ani wyrostków-studentów, ani chłopców czeladniczych, ani socjalistów, lecz przypisuje całe zajście ogółowi polskiemu i pisze z udaną miną poważną: «Politycy polscy wiedzą, co czynią. Oni poznali słabą stronę Rosji i jej rządu; oni znają doskonale dobroczynność społeczeństwa rosyjskiego i grają na niej, jak na klawiszach. No, ale gra ta wydała przecież ten ton, który grający przez długi czas ukrywali w skrytości». W tym lapidarnym, kofcowym zwrocie streszczają się wszystkie kilkometrowe artykuły mentora z «Narodnego domu». Odpowiemy mu, że i przy największej dozie złej woli słowa pozostana słowami, a ludzie mężni, *bezstronni liczyć się będą tylko z faktami istotnymi i te ocenią w świetle rzeczywistości i prawdy*. Incydent wtorkowy, bez względu na sztuczne oświecenie, jakie mu wrogowie polaków nadać usiłują, będzie oceniony tak, jak na to zasługuje. *Lux in tenebris lucet*.

«Słowo Polskie».

«Pragniemy gorąco i chcemy wierzyć, że demonstracja przedwczorajsza zamyka epokę manifestacji lwowskich, o których już nie można powiedzieć, że nie mogą sprowadzić niepożądanych skutków. *Apelujemy do gorącej, serdecznej, patrijotycznej rzeszy, by już zaprzestała ulicznych manifestacji*. «Wolno i trzeba młodzieży powiedzieć, żeby pamiętała, że manifestacje Lwowa są widziane daleko i mogą wywołać skutki dla polaków, przedewszystkiem dla polskiej młodzieży w innych zaborach niepożądane, a może ciężkie».

«Dziennik Polski».

«Obchody rocznic, czy to radosnych, czy bolesnych, cechowała zawsze dotychczas niezem niezmacona powaga. Każdy poważny człowiek rozumie, że właśnie w takich chwilach nie wolno nam się dopuszczać błędów, których skutki wprost nieobliczalnie być mogą. Takiego błędu

dopuszczała się wczoraj garstka młodzieży szkolnej, która postanowiła urządzić demonstrację uliczną, prowokując pojawienie się wojska i policji. *Kto ją do tego namówił — niech odpowie przed Bogiem i swem sumieniem*. My musimy tylko napiętnować sam fakt i zaznaczyć, że społeczeństwo nasze potępia tę w wysokim stopniu szkodliwą demonstrację».

«Głos Narodu».

«Zajścia lwowskie budzą wielki smutek i wielki niesmak. Najpierw demonstracja równie bezcelowa, jak szkodliwa, a potem bijatyka wcale nie szlachetna. Marnowanie sił i kompromitowanie sprawy ogólnej, sprawy narodowej, sprawy tak świętej dla każdego polaka, że działać dla niej można tylko środkami, za które nikt nie potrzebował się wstydzić. *Epizod to tylko — ale przykry i bolesny. Oby się nie powtórzył!*».

Niezmiernie charakterystycznym jest fakt, że przeciwko demonstracji lwowskiej dnia 21 stycznia oświadczyły się nietylko pisma konserwatywne i umiarkowano-liberalne, ale nawet «Wiek XX», organ «Ligi narodowej», której demonstracje studenckie nigdy solą w oku nie były, wystąpił z admonicją dla młodzieży. Głos «Wiek XX» jest naturalnie bardzo dyplomatycznym (kto kokietuje z młodzieżą i uważa ją za siłę polityczną, inaczej pisać nie może), ale bądź co bądź nie pozostawia wątpliwości, że demonstracja przed konsulem rosyjskim nawet naszym dojrzałym «szwiniostom» nie była na rękę.

«Wiek XX».

«Powtarzające się kilkakrotnie w ostatnich czasach demonstracje młodzieży są niepotrzebne, a nawet w pewnych wypadkach mogą się okazać szkodliwymi w skutkach i dla niej, i dla sprawy narodowej, której młodzież chce służyć. «Mówiliśmy o tem pobieżnie z powodu demonstracji dawniejszych, wywołanych sprawą wrzesińską. Wracamy dziś do tej sprawy, bo chcemy rozważyć ją chłodno i spokojnie, wypowiedzieć zdanie nasze otwarcie.

«Demonstracje uliczne mogą niewątpliwie w akcji politycznej odgrywać ważną rolę. Ale my dziś żadnej takiej akcji politycznej nie prowadzimy i prowadzić nie możemy, któraby wymagała współdziałania mas, wyrażającego się w manifestacjach publicznych.

«Potrzebnych przynioutów nie wyrabia się w demonstracjach, w krzykliwej agitacji, folgowaniem porywom uczucia, czy tylko wybrykiem temperamentu.

«Młodzież powinna mieć temperament żywy, zapalny, ale musi się uczyć z czasem trzymać go na wodzy. Nie można jej się dziwić, ani tembardziej nie można jej potępić za to, że bierze udział w manifestacjach, które powstają nagle, samorzutnie, są niespodziewanym wybuchem uczuć ogółu lub znacznej jego części (!).

«Demonstracje obmyślane i powtarzane mogą być również skutecznym środkiem akcji politycznej, ale muszą mieć jakiś cel wyraźny. Takiego celu demon-

stracę, czy to przed konsulem pruskim, czy przed konsulem rosyjskim, nie miały. Pojmujemy uczucie, które je wywołało, i pobudki, które kierowały postępowaniem młodzieży. Ale chyba najniebezpieczniej nie przypuszczają, że w ten sposób można coś bezpośrednio lub pośrednio osiągnąć dla sprawy narodowej. Natomiast każdy zrozumie, że łatwo i sobie i sprawie publicznej zaszkodzić.

«Znieważenie herbu obcego państwa jest, według prawa międzynarodowego, poważnym wykroczeniem. Państwo, którego obywatele tego wykroczenia się dopuszczają, musi dać zadośćuczynienie rządowi obrażonemu. Odmówienie takiego zadośćuczynienia — to *casus belli*. Dziwić się nawet nie można, że rząd, dla którego dawanie zadośćuczynienia innemu państwu jest zawsze pewnego rodzaju upokorzeniem, karze surowo podobne wykroczenia. Musi je nawet karać, bo bezkarności byłaby nową dla obrażonego państwa zniewagą.

«Nie jesteśmy patriotami austriackimi, ale doprawdy trudno zrozumieć, jaki my, polacy, możemy mieć w tem interes, czy nawet tylko przyjemność, żeby rząd austriacki upokarzał się przed pruskim.

«Młodzież nasza, w której nadzieja lepszej przyszłości narodu spoczywa, w postępowaniu swem powinna się rządzić nie tylko sercem, ale i rozumem. Do rozumu więc jej przemówić należy szczerze i otwarcie, bez sentymentalnych frazesów, bez patetycznych wykrzykników, a wtedy sama dojdzie do przekonania, że powtarzanie demonstracji jest i dla społeczeństwa i dla niej szkodliwym. A to nie tylko dlatego, że narazić może młodzież na surowe kary, ale — i głównie — dlatego, że bezcelowe demonstracje są bardzo lichą i niebezpieczną metodą działalności politycznej.

«Dostępnym już bowiem mamy w Galicji namiętanych i lekkomyślnych agitatorów, których temperament unosi na manowce polityczne, a zamało poważnych i sumiennych pracowników sprawy narodowej, rozumiejących jej zadania i cele».

DWIE NAPAŚCI.

Rozumne i szczerze wystąpienie prasy przyjęte zostało źle przez ogół młodzieży szkolnej lwowskiej. Znaleźli się zapaleńcy, którzy ulicznym napadem odpowiedzieli na głos rozsądku. Oto (według relacji «Reformy») co wydarzyło się na jednej z ulic Lwowa we dwa dni po ekscesach, o których mowa:

«Wczoraj popołudniu — pisze „Reforma“ — dopuszczono się napadu wstępnego na osobę redaktora „Dziennika Polskiego“, d-ra Ostaszewskiego - Barańskiego. Około godziny w pół do piątej popołudniu wstąpił wczoraj dr. Ostaszewski-Barański do handlu Musiałowicza przy ulicy Trzeciego Maja, a równocześnie niemal wszedł tam sześciu młodych ludzi, którzy kazali sobie podać piwa. W chwili, gdy dr. Ostaszewski trzymał w ręku papiernicę, jeden z młodych ludzi, podobno słuchacz politechniki, przystąpił do redaktora „Dziennika Polskiego“ i zapytał: „Czy mówię z redaktorem „Dziennika Polskiego“, d-rem Ostaszewskim-Barańskim?“ „Tak — brzmiała odpowiedź — czem mogę panu służyć?“ W tej chwili młodzieniec ów zacięniętą pięścią uderzył z całą siłą d-ra Ostaszewskiego w lewe oko, wołając: „Masz za

artykuł *«Pour le roi de Prusse!»* Redaktor Barański, odpowiadając na cios, uderzył napastnika. W tej chwili rzuciło się na niego pięciu innych, chwytając go za piersi. Jeden z nich uderzył go jakimś twardym narzędziem w głowę, a inni rzucili go na ziemię i bili, poczem sprawy korzystając z tego, że lokal był zupełnie pusty, uszli z pospiechem w kierunku pasażu Hansmana. Policja już zajęła się tą sprawą i d-ra Ostaszewskiego-Barańskiego, jakoteż personel handlu Musiałowicza zawiezono na dziś na godz. 11 przed południem do policji dla przesłuchania. Sprawców do tej chwili nie wysłędzono. Pisma dzisiejsze wszystkie, bez różnicy przekonań, potępiają sam fakt napadu na d-ra Ostaszewskiego. Charakterystycznym jest, że dr. Ostaszewski artykułu nie pisał, ale ktoś inny... Dziś o godzinie 11 przed południem, dyrektor policji, p. Schaechtel, który sam prowadzi śledztwo, przesłuchiwał d-ra Ostaszewskiego-Barańskiego i personel handlu Musiałowicza. Dzisiejszy poranny „Kurjer Lwowski“ przyniósł zdaje się jakieś szczegóły w artykule „Policzki za artykuły“, ale został skonfiskowany. Ciężką jest o wiele konfiskata dzisiejszego popołudniowego „Słowa Polskiego“ za artykuł... potępiający ostatnią demonstrację».

Nie poprzestano na tej burdzie. Oto co czytamy w «Gazecie Narodowej»:

«Wczoraj zgłosił się do policji lwowskiej profesor IV gimn. dr. Antoni Jaworowski i opowiedział następującą historję. Wczoraj wyszedł on ze szkoły po godzinie 1 popołudniu i szedł do domu ulicą Nikorowicza obok techniki. Naprzeciw niego kroczyło kilku młodych ludzi, prawdopodobnie techników. Kiedy byli o parę kroków od p. J. oddaleni, jeden z nich odłączył się od gromady i przystąpił do profesora, zapytał się hardo, czy jest prawdą, że profesor Jaworowski przemawiał do uczniów w swojej klasie, aby się nie bawili w demonstracje uliczne. Profesor odmówił wyjaśnień, a wówczas napastnik uderzył go w twarz, poczem gromada odeszła. Profesor J., nie chcąc wszczynać na ulicy awantury, doniósł o napadzie policji, świadkami zajęcia było bowiem kilkunastu uczniów, trudno więc było płazem puścić ten napad uliczny».

Odstępujemy raz jeszcze głos prasie zakordonowej. Panuje w niej przy ocenianiu powyższych faktów, godny zaznaczenia ton ogólny, pomimo przeciwieństw zabarwienia i przekonań politycznych. Oto dla przykładu co piszą:

«Przedświt».

«Czy ucząca się młodzież polska, jako ogół, z własnego popędu odrywa się od pracy szkolnej, by wchodzić demonstracje uliczne, niewczesne i niepolityczne? Czy sama ona z własnej inicjatywy chce prowadzić niedorzeczną walkę na trzy fronty, do żadnego celu nie prowadzącą? Czy wreszcie solidaryzuje się z czynami tak brutalnej przemocy, a tak nierycerskimi, jak napasć na redaktora „Dziennika Polskiego“ p. Ostaszewskiego-Barańskiego?»

«Sam fakt napasć, dokonanej w warunkach tak brutalnych i niepolitycznych, utwierdził musiał w przekonaniu, że napasć ta nie jest dziełem młodzieży polskiej, ale że po za młodzieżą ukrywają się nieuczciwi podlegacze — prowokatorowie, którzy nieopatrznie pechają młodzież na niewłaściwe drogi. Smutne zdarzenie pozwoliło domyślać się, gdzie szukać należy inicjatorów demonstracji ulicznych. Ale domysły byłyby pozostały przynajmniej na czas pewien domysłami tylko, gdyby nie nagłe odsłonięcie przyłbicy przez jednego ze sprawców zamachu.

«Oto w dzisiejszym „Kurjerze Lwowski“, który jeden jedyny idąc pod rękę w tej sprawie z socjalistycznym „Naprzodem“, nie miał dość słów uwielbienia dla demonstrantów, a trzeźwe głosy całej prasy polskiej nazwał „głosami puszczaków“ — w tym „Kurjerze“ czytamy w rubryce „Nadesłane“ oświadczenie p. Tadeusza Mokłowskiego, że to on tak po bohatersku rozprawił się z redaktorem „Dziennika Polskiego“.

«P. Tadeusz Mokłowski jest — jak się sam podpisał — słuchaczem politechniki, i jest, jak wiadomo, autorem kilku podobnych aktów satysfakcji, że przypominamy tylko niedawną polemikę, jaką stoczył tenże p. Mokłowski w jednej z tu-tejszych kawiarni z postem Breiterem, którego również po bratersku uderzył. P. Mokłowski jest wreszcie bratem znanego socjalisty Mokłowskiego, jednego z filarów partji socjalno-demokratycznej w Galicji. To wystarczy».

«Wdzięczni jesteśmy w imieniu całego społeczeństwa polskiego p. Mokłowskiemu, że dotknięty ostremi zarzutami nierycerskości, odsłonił przyłbicę, przez co umożliwionym został słuszny sąd o tym nader smutnym wypadku. Na niego więc, na p. Mokłowskiego i na jego kilku kompanów spada odpowiedzialność za czyny, za które przynajmniej nie powinna być odpowiedzialną młodzież polska, nasza dzielna i patriotyczna młodzież, zbyt łatwo, niestety, jak każda młodzież, ulgająca obcym poduszczynom».

«Przeгляд».

«Smutny to jest fakt, że pewna część młodzieży naszej ucieka się do tak brutalnych środków, jak napadanie w znacznej liczbie na bezbronno człowieka, w celu karania go za przekonania, jakie żywi. Za przekonania polityczne, które mu do gustu nie przypadają, korzystając ze swej siły, ściga i przesładuje. Młodzież, chcąc dać wyraz temu, że takiego postępowania rządu despotycznego nie pochwala, urządza demonstracje, a nazajutrz kubek w kubek robi to samo wobec redaktora, który poważył się mieć inne, niż ona zdanie. Jeżeli to jest logika? A przecież młodzież akademicka powinna się odznaczać logicznym myśleniem, a nadto rycerskością i szlachetnością wobec przeciwników».

«Reforma».

«Nie godzimy się ani z treścią artykułu „Dziennika“, jak to już zresztą daliśmy omedgad do poznania, gdy nam ze Lwowa treść jego telefonicznie sygnałizowano, ani z postąpieniem młodzieży lwowskiej, która w tak niewłaściwy sposób przeciw treści jego chciała zaprotestować.

«Nawet bardzo płomienna prasa lwowska przyznaje („Wiek XX“), że demonstracje antyrosyjskie we Lwowie były aktem niewłaściwym i niepolitycznym.

«Tak my, ztąd, z pewnej odległości na fakta patrząc, tłumaczymy sobie ostatnie demonstracje lwowskie. Przyszły one nie w porę, były niepolityczne i niepotrzebne, i nie nadawały się do osiągnięcia celu.

«Jeżeli zaś młodzież lwowska chciała reagować przeciw treści artykułu „Dziennika Polskiego“, miała ku temu sposobów wiele: protesty wiecowe, artykuły dziennikarskie i t. p. — mogła użyć wszystkiego, tylko nie... siły pięści, bo ona nie jest żadnym argumentem, a tem mniej argumentem ludzi wykształconych i myślących, i ubliża zawsze temu, kto jej używa. Kto żąda dla siebie wolności działania, nie powinien komu innemu odbierać wolności słowa, a tem mniej wolności słowa tłumić w sposób brutalny».

«Głos Narodu».

«Zła sprawa zawsze złych tylko znajduje obrońców. Argumentów rzeczowych nigdy nie zastąpi brutalna przemoc, a spory za-

sadnicze nigdy nie będą rozstrzygnięte pięścią. We Lwowie napadnięto i obito dziennikarza za to tylko, że nie podzielał zapatrywań grupy ludzi, która jest bardzo nieliczna i bezimienna — więc nietylko nie reprezentuje większości społeczeństwa, ale nawet nie ma odwagi wystąpić z podniesioną przyłbicą. Brak cywilnej odwagi łączy się z brakiem godności. W pięciu napadach na jednego bezbronno człowieka, to znaczy zapewnić sobie z góry taką fizyczną przewagę, która wyklucza wszelkie szanse strony przeciwnej. Nie wierzymy, żeby młodzież polska mogła wpaść na podobny pomysł. Można niekiedy usprawiedliwić czyn brutalny, będący wynikiem uniżenia, znoszącego rozwałkę, ale niema usprawiedliwienia dla napasć z góry obmyślonej i wykonanej tak podstępnie».

W tymże wreszcie tonie przemawia i prasa poznańska.

«Kurjer Pozn.».

«Dr. Ostaszewski — pisze „Kurjer Poznański“ — jest jednym z najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych bojowników naszej sprawy narodowej, jednym z najskuteczniejszych działaczy przeciw szowinistycznym, germańskim wpływom, próbującym się w Galicji zagnieżdżyć.

«Obecnie, gdy sympatje wszystkich narodów słowiańskich tak żywym dla polaków odezwały się echem, gdy wrogów naszych z tego powodu opranował postrach, siłą się oni wszelkimi środkami, by bojowników naszych do milczenia zmusić.

Nie uląkł się ich pogroźek „Dziennik Polski“, za co cała patriotyczna prasa polska wyraża mu uznanie i cześć. Czynniki przeciwnie chwyciły się środka barbarzyńskiego i podłego, by zemścić swą na nim wyrządę. Dokazały tylko tego, że do reszty odsłoniły moralną swą wartość i pokazały wszem wobec swą moralną nędzę. Ubolewamy głęboko nad tym objawem zwyrodnienia jednostek w naszym społeczeństwie.

«Pociesza nas jednak myśl, że kto takie mi się posługuje środkami, ten u nas nie daleko zajdzie i z pewnością w słusność tej sprawy sam nie wierzy».

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× We wtorek d. 15 stycznia odbył się wielki bal u Ich Cesarskich Mości w pałacu Zimowym. Obecny był cały Dwór, całe ciało dyplomatyczne, ministrowie, jeneracja i świat wyższy; liczba gości sięgała 3^{tych}.

Urzędowe.

× Wskutek rozkazu Najwyższego mają być znówu podjęte, na czas pewien zawieszona, prace nad *reformą prawodawstwa włościańskiego*, przyczem zastrzeżono, aby rewizja tych ustaw dokonana była na gruncie prawa z d. 19 lutego 1861 r. i stanowiła dalsze jego rozwinięcie. Reforma będzie dotyczyła czterech oddziałów: 1) społecznego zarządu włościańskiego; 2) posiadania ziemi i cywilnych praw mieszkańców wiejskich; 3) włościańskiej gospodarki społecznej i 4) sądów włościańskich. Do komisji redakcyjnej nowego projektu mogą być powoływani przez ministra rzeczoznawcy z pomiędzy osób urzędowych i prywatnych.

× «Praw. Wiestn.» ogłasza, iż minister skarbu ułożył projekt gubernialnych

kas szlacheckich wzajemnej pomocy. Kasy te mogą zakładać towarzystwa szlacheckie przy pomocy skarbu państwa, celem udzielania obywatelom — szlachcie — pożyczek na spłatę długów, zasiłków na wypadek klęski, przyczem kasa rozciągnęłaby dozór nad majątkiem do czasu splacenia pożyczki. Projekt złożono już Radzie państwa.

× W pierwszych dniach lutego rozpoczęła się posiedzenia komisja przy ministerstwie skarbu, która wraz z przedstawicielami ministerstwa oświaty zajmie się szczegółowo sprawą *obowiązkowego nauczania* małoletnich robotników *fabrycznych*.

× Z polecenia Rady państwa, nowy projekt kodeksu cywilnego winien być ukończony w połowie 1903 r. i przedstawiony jej do rozpatrzenia.

× W sklepach skarbowej sprzedaży trunków wprowadzać zaczęto sprzedaż *marek stemplowych* po cenach nominalnych.

× Według informacji «Grażd.» projekt *nowej ustawy szkół średnich* ma być złożony Radzie państwa w bieżącym półroczu.

× Minister rolnictwa zatwierdził ustawę kijowskiego Tow. *pomocy wzajemnej rolników i leśniczych* z wyższem i średniem wykształceniem. Zadaniem Towarzystwa jest niesienie pomocy materialnej członkom, wyszukiwanie pracy, a zarazem ułatwienie stosowania w praktyce posiadanych wiadomości; w tym celu Tow. ma prawo urzędzać odczyty, doświadczenia, oraz wydawać własny organ. Członkami Tow. mogą być osoby, które pokończyły wyższe i średnie zakłady naukowe rolnicze i leśne, oraz inne zakłady naukowe, o ile się trudnią rolnictwem. Członkowie rzeczywiście opłacają jednorazowo 10 rb. i roczną składkę po 5 rubli.

× Zatwierdzona została ustawa Tow. dobroczynności w Telszcz (gub. kowieńska), które ma się zająć polepszeniem *moralnego i materialnego stanu* ubogich chrześcijan.

× W Odesie zmarł 12 (25) stycznia brat ministra skarbu, *B. J. Witte*, prezes Izby sądowej odeskiej.

W Petersburgu.

— **Wystawa rybacka.** W maneżu Michajłowskiem, w obecności wyższych dygnitarzy i przedstawicieli państw obcych, otwartą została powszechna wystawa rybacka. Na otwarcie jej przybyli z Warszawy przedstawiciele miejscowego oddziału hodowli ryb i rybołówstwa, pp.: hr. Aleksander Ostrowski z Korczewa, adw. przys. Pniewski i inż. Wincenty Skotnicki z Warszawy.

— **Tow. inżynierów górniczych** w Petersburgu postanowiło utworzyć przy Towarzystwie „biuro pośrednictwa pracy“. Opracowany przez dwóch członków projekt ustawy nie został przez ogólne zgromadzenie członków przyjęty ze względu na to, że projektodawcy żądali, aby Biuro przyjmowało na siebie moralną odpowiedzialność za polecanych przez siebie inżynierów. Uznanie spełnienie tego wymagania za zbyt krępujące i postanowiono ograniczyć się wyłącznie w stręczeniu pracowników.

— **Biuro porady prawnej.** Grono adwokatów, założycieli organizującego się przy tutajszem Towarzystwie dobroczynności Biura porady prawnej dla niezamożnych katolików, zebrało się w tych dniach na pierwsze organizacyjne posiedzenie. Po obznajmieniu się z projektem przepisów, określających stosunek Biura do Towarzystwa dobroczynności, i przyjęciu go, zebrało założycieli wybrało komitet Biura, powołując do jego składu pp.: B. Olszamowski, P. Kleczkowski, H. Lewestama i Romańko-Romanowicza.

— **Z „Lutni“.** Na ostatnim posiedzeniu komitetu postanowiono zwołać na dzień 30 b. m. ogólne zgromadzenie członków „Lutni“, dla złożenia mu sprawozdania za r. z., wyboru nowych członków, oraz uzupełnienia składu komitetu przez powołanie doń nowych członków na miejsce ustępujących z kolei pp.: Walańskiego, Krejbicha, Dietricha i Pickarskiego. Koncert, mający się odbyć w nadchodzącą sobotę 19 stycznia, zapowiada się interesująco. Przyobiecany uprzednie udział: p. Marji Żarnowskiej i pp.: Hilla, Rajskiego, Truskawskiego, Zaremby i F* * (arfa), zapewnia mu powodzenie.

— **Z teatrów i widowisk.** W operze włoskiej, po długiej przerwie, wystawiono „Roberta djabła“ Meyerbeera z paniami Kruszelnicą i Tetracziną, oraz pp. Marconim (Robert) i Arimondim (Bertrand) na czele. P. Kruszelnicą we wdzięcznej roli Alicji zbierała oklaski. W piątek, 18 b. m., dyrekcja wystawia „Eng. Oniegina“ Czajkowskiego. W teatrze Maryjskim w niedzielę, 20 b. m., na beneficj artysty Johansona wystawiony będzie balet A. Górskiego „Don Kiszot z la Manszy“, opracowany na tle znanego romanu Cervantesa. Na scenie teatru Aleksandryjskiego w sobotę, 19 b. m., odbędzie się przedstawienie na rzecz ochronek dla dzieci imienia W. Ks. Elżbiety Maryrcówny; dana będzie komedia Sndermana „Walka motyli“. Trupa francuzka teatru Michajłowskiem wystawiła z powodzeniem nową komedję Alfreda Capusa p. t.: „La veine“. Na sobotę zapowiedziano drugą nowość: komedję „M'amour“ pp. P. Bilhaud i M. Hennequin. Teatr „Nowy“ wystawił przerobioną z powieści M. Gorkiego komedję p. t.: „Tomasz Gordiejew“ w nowej (czwartej) przeróbce, zaaprobowanej przez autora powieści. Znany impresario amerykański Johnson zaproponował p. Jaworskiej czteromiesięczne *tournée* po Ameryce, gwarantując wynagrodzenie w sumie 790 tys. franków. Teatr p. Szabelskiej, zniechęcony poważnymi stratami, jakie przyniosło wystawianie mało uczęszczanego dramatu, przerzucił się na lekką operetkę. Zmiana była o tyle pomyślną, że już w znacznej części pokryła poprzedni niedobór. Do teatru Palma zjeżdża trupa berlińskiego „Ibsen-teatru“ pod dyrekcją Gustawa Lindemana. Na pierwsze przedstawienie w środę, 23 b. m., wybrano „Hedgę Gabler“.

— **Konsul.** P. Michał Beniślawski, przemysłowiec i obywatel wiejski gub. witebskiej, stałe w Rydze zamieszkały, na mocy Najwyższego zatwierdzenia zajął stanowisko konsula jeneralnego duńskiego na państwo rosyjskie i osiada w Petersburgu.

— **Numer dzisiejszy**, z powodu trudności technicznych, wychodzi z dwudniowym opóźnieniem.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

PRZEGLĄD.

[Testament królewski. Pogłoski o Serbji i królu Aleksandrze. Sprawy bałkańskie i perskie. Artykuły „Now. Wrem.“ i „Birk. Wied.“ Oświadczenia lorda Cranborne. Wieczory irlandzkie. Demonstracje boerofilskie. Wojna. Dlaczego nie rozmieniamy antypodów].

«Nie wierz nikomu — wszyscy są sprzedajni i zdrąjcy. Pogardzaj ludźmi — nie zasługują na nic innego. Czyn zabiegaj w celu zdobycia bogactwa — to największa w świecie potęga nawet dla królów... Trzeba mieć bardzo smutne życie, ażeby zstępować do grobu, pisać dla syna

sfery rządzące, nie hamuje się w złości i insynuacjach.

„Nowe projekty rządu—pisze ona—zwracają się przeciw tej organizacji, która kieruje sprawami politycznymi wszystkich polaków. Długo strzeżona tajemnica właściwych celów tej międzynarodowej organizacji, których nie można osiągnąć bez państwowego przewrotu, jest dzisiaj jawna. Dlatego niezłomnym jest stanowisko Bülowa. Władza państwowa rozporządza jeszcze innymi środkami karnymi, aniżeli dotychczas użyte. Odtąd z całą surowością wystąpi rząd przeciwko polskim machinacjom, które się zwracają przeciwko istnieniu państwa pruskiego“.

«Norrd. Allg. Ztg» ucieka się do kłamstw, zdradzających zresztą mocny niepokój:

„Z trwogą patrzą Niemcy rolnicy z okolicy Wrześni na skutki agitacji, rozwijanej przez polaków po wyroku sądu gnieźnieńskiego. Pomiedzy robotnikami rolnymi polskiej narodowości rozrzucają podszechnawające artykuły najgorszego gatunku, z wezwaniem do nieposłuszeństwa przeciwko chlebowodawcom i do gwałtów przeciwko niemieckim właścicielom i dzierżawcom. Wpewnej oberży wiejskiej agitatorzy polscy darmo dawali ludowi wódkę, przytem mu tłumaczyli, że „dwaj królowie“ gotowi przyjąć polakom z pomocą“.

«Deutsche Ztg» ubolewa nad tem, że hr. Bülow wobec polaków chowa silną rękę swoją, i że w Prusach niewolno nawet pokazywać jej nauczycielowi wobec dzieci. Źródłem wszystkiego złego jest naturalnie stanowisko polityczne centrum, powiada «Deutsche Ztg», i zarzuca katolickiemu stronnictwu, że jego hasłem jest «stronnictwo», a nie «ojczyzna».

«National-Ztg» poświęca długi artykuł roli polaków w Europie:

„Polacy starają się o wywołanie rewolucji lub wojny, celem odbudowania Polski. Niewidomy związek obejmuje wszystkich polityków polskich i łączy ich z duchowieństwem, które po kościołach szerzy agitację. Równocześnie prowadzą dobrowolni dyplomaci z polskiej szlachty agitację pod pozorem niewinnej roli towarzyskiej. Sam egoizm państwowy zmusi Niemców do tem ostrzejszego stosowania kursu, rozpoczętego w Księstwie Poznańskim i w zachodnich Prusach“.

«Kreutz-Ztg» pisze, że polacy wstępują wojowniczo przeciwko państwu niemieckiemu, że jednakże bardzo niezręcznie intrygę swoją w czyn wprowadzili, bo nie udało im się poróżnić Niemiec z Rosją i Austro-Węgrami.

Wobec głosów prasy rosyjskiej, angielskiej i francuskiej pisze «Post»:

„Prasa angielska ma teraz wyborną sposobność do odpłacenia się Niemcom za ich manifestację przeciw Chamberlainowi. Co wziąć do ręki jako dziennik angielski, wszędzie czytasz o Wrześni, wszystkie powiadają Niemcom: „Widzicie obce pod łasem, a nie widzicie swego pod nosem!“ Niechaj się Niemcy raczej ujmą za gnębionymi polakami w Rzeszy, a nie za obcymi dla nich boerami!“ Tak samo ostre wycieczki napotykały w prasie francuskiej, włoskiej, czeskiej, madziarskiej. Proces wrzesiński wskrzesił obumarłe polonofilstwo we Francji; jak za dawnych czasów wynosi prasa francuska polaków, ba, nawet pozwala sobie zwać rozbiór Polski zbrodnią. Jakkolwiek silne są Niemcy, jednakowoż ruchu

tego lekceważyć nie wolno. Szczując przeciw trójprzymierzu, wrogowie nasi chcą kiedyś rozzerwać Rzeszę niemiecką. Paryzka prasa już tryumfuje, ale wybryki motłochu ulicznego nie wstrząsną sojuszem austriacko-niemieckim“.

«Zgiąć albo złamać»—oto hasło, które proponuje rządowi pruskiemu «Tägl. Rund.» w polityce wobec polaków, omawiając stosunki szkolne we Wrześni.

Gniew i zaniepokojenie ujawniły się nawet w umiarkowanym piśmie «Deutsches Adelsblatt», poruszonym do żywego przez artykuł ks. Uchtomskiego w «Piet. Wied.» o germańskim jezuityzmie. Czytamy tu:

„Jak iskra wystarcza, aby zapalne materiały doprowadzić do wybuchu, tak zajęcia wrzesińskie nie tylko posłużyły ku temu, aby być wyzyskanymi w celach agitacyjnych, ale skierowały na nas prawdziwą powódź panslawistyczną!“

Współczucie dla polaków ze strony sprzymierzonych z Niemcami Włoch obudziło w pismach hakatystycznych wylewy żółci:

„O niemniejszym zaślepieniu świadczy ujmowanie się półurzędowej „Tribuna“ i studentów włoskich za agitacją wszechpolską w Prusach. Nie zrobimy krzywdy politykującym ulicznikom z uniwersytetu rzymskiego, jeżeli odmówimy im wszelkiej znajomości historii i stosunków politycznych nad niemiecko-słowiańską granicą językową. Ale organ ministerstwa włoskiego powinien przecież być o tyle poinformowany, aby nie zajmował się wewnętrznymi sprawami swego sprzymierzeńca w sposób taki, jak to czyni „Tribuna“.

Organ centrum katolickiego, «Germania», stwierdza, że zachowywanie się władz pruskich zrobiło zagranicą najgorsze wrażenie, a litość dla ofiar procesu wrzesińskiego na całym świecie, a zwłaszcza we Włoszech, nie jest korzystną dla powagi ojczyzny niemieckiej. «Germania» donosi:

„Proces wrzesiński wzburzył szerokie koła ludności włoskiej. Przedwczoraj nadeszła z Wiednia wiadomość, że zamieszkałi tamże włosi złożyli 200 koron dla rodziców ukaranych dzieci. Teraz mają w Rzymie i w innych miastach włoskich zbierać składki dla polaków“.

Poważnie i ostrzegawczo brzmi głos «Frankf. Ztg», choć pismo to stara się zachować lojalność wobec Prus i szacunek dla hr. Bülowa. Zaznacza ono wyraźnie, co następuje:

„A jednak skargi polskie zmuszają do współczucia i trudno stłumić wątpliwość, czy też po za hasłem germanizmu i walki przeciw rzekomemu zalewowi polskiemu, nie ukrywają się z pewną brutalnością pewne grzechy biurokratyczne, iczy też polska polityka Prus nie zaostrzy jeszcze bardziej narodowych antagonizmów, żadnej Niemcom nie przynosząc korzyści. Polacy u nas są drobną mniejszością, a jednak doznawać powinni takich samych względów, jakich domagamy się dla mniejszości niemieckich zagranicą. Jeśli hr. Bülow zapewnia, że powaga Niemiec na zewnątrz nie została naruszona, to myli się o tyle, o ile powaga państwa nie zależy od rządu, jeno od usposobienia ludów, które na rządy oddziaływują“.

Zaznaczyć należy, że i prof. Delbrück, znany z niezawisłego sądu o

stosunkach prusko-polskich, zabrał w pismach niemieckich głos przeciwko rządowi pruskiemu. Artykuł jego kończy się temi słowy:

„Potrzebujemy obecnie zręcznego dyplomaty, któryby nas sprowadził z błędnej drogi, na jaką dostało się ministerstwo oświaty—jak ongi z zakazem udzielania Sakramentów św. podczas walki kulturalnej—jeżeli państwo pruskie nie chce ponieść porażki. Walka, jaką dziś prowadzimy przeciwko polskości, toczy się za pomocą najnieczystszych środków. Prowadzimy ją, jak gdybyśmy pozwolili podczas wojny w r. 1870 Kruppowi zaopatrywać francuzów bez przerwy w nowe armaty z jego fabryki. Przyswajamy polakom język niemiecki, wyrobiliśmy im stan średni. Jest to jaknajwiększą niedorzecznością—chcieć naród w ten sposób podnieść, a zarazem zgnębić. Nietylko dla zachowania pokoju we własnym domu, ale zwłaszcza ze względu na naszych braci zagranicą, którzy na złym przykładzie Prus dużo cierpieć muszą, byłoby do życzenia, aby konflikt w sprawie nauki polskiego języka w szkole znikł ze widowni“.

«Vorwärts» nazywa poprostu «oficjalnymi bredniami» twierdzenia o rzekomej organizacji tajnej wśród polaków, skierowanej przeciw Niemcom.

„Nie fantastyczny komitet tajny, ale germanizacyjne barbarzyństwo i wrzesiński system karny, stosowany przez katów-pedagogów—czytamy w tem piśmie—zbudziły współczucie całej Europy dla polskich dzieci“.

Ze sprzymierzonych z Niemcami Austrii przychodzą ostrzegawcze głosy niemieckie. Najbardziej rozpowszechniony dziennik wiedeński, «Neues Wiener Tagblatt», zdobył się na odwagę potępienia polskiej polityki Prus. Rząd pruski widzi popełniane błędy, a nie cofa się jedynie z obawy, by przeciwnicy przyznania się jego do winy nie wyzyskali. W cichości—zdaniem pisma—władze miejscowe usłyszały zapewne niejedną wyrzut, nazewnątrz jednak rząd się z niemi solidaryzuje. Artykuł wylicza szczegółowo, jak chybnym był każdy środek walki z polonizmem:

„Legenda o polskiej niezaradności dawno już okazała się bajką. W rzemiosłach, przemysle, handlu i rolnictwie okazują polacy wielką ruchliwość i niezwykłą solidarność. Z obfitych środków, przyznawanych dla parcia przemysłu i rolnictwa w prowincjach wschodnich, polacy korzystać umieją o wiele lepiej od Niemców. Rząd pruski nie może wykazać się najmniejszym sukcesem na polu polityki polskiej. Obok tego „Ostmarkverein“ (związek hakatystów) dba o to, by popełniać każdy błąd, niepopelniony jeszcze przypadkowo przez rząd“.

Pisma niemieckie w Austrii wogóle wcale nie pochwalają antypolskiej polityki rządu pruskiego.

Jerzy Brandes kończy swój długi artykuł o dzisiejszej cywilizacji pruskiej w kopenhaskiej «Politiken» takim zdaniem:

„Nie ulega wątpliwości, że ta pruska próba germanizacyjna nie powiodła się i wywarła skutek wprost przeciwny. Ale ze stanowiska ogólnoludzkiego jest to względnie podrzędnej wagi. Najważniejszem jest to, że tu w r. 1901 zatrzymała się cywilizacja Europy. Nie posunęliśmy się naprzód“.



„DUSZE NAD ACHERONEM“. Obraz
A. K. HIREMY-HIRSCHLA.
ALBUM „KRAJU“.

ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 18 (31) stycznia 1902 r.

№ 3

Treść niniejszego zeszytu «Życia i Sztuki» zamieszczoną jest w Dziale Głównym.

Z LISTU POETY.

Obszerne, w głąb utworu i twórcy sięgające studjum Włodzimierza Spasowicza o «Weselu» Wyspiańskiego, które w dwóch ostatnich zeszytach rocznych numerach pojawiło się w «Kraju», wywołało wśród bezwzględnych wielbicieli poety—oburzenie. Rzucono nawet gromy na te pisma galicyjskie, które, jak np. «Słowo Polskie» i «Gazeta Narodowa», przedrukowały to, co pisał Spasowicz. Nie przebaczone nawet tak wyjątkowej powadze krytycznej, że oddając sprawiedliwość niepowszednim przymiotom Wyspiańskiego, zatrzymała się tam, gdzie zaczyna się bezkrytyczny zachwyt i ferwor superlatywów. Sąd Spasowicza obrony nie potrzebuje. Co atoli powiedzieć należy, to—to mianowicie, że głos Spasowicza bynajmniej odosobnionym nie jest. Ci atoli, którzy, jak z nas wielu, nie odmawiając twórcy «Wesela» wielkich, wyjątkowych przymiotów, stają wespół ze Spasowiczem u wzmiankowanej granicy—nie kwapią się brać udział w polemicznym hałasie. Są, którzy dalej, znacznie dalej zachodzą i «myślą» rzeczy, od których—zawsze z oburzenia—chybaby zamarł głos w piersiach entuzjastów.

Od poety — a wierzyć proszę, że nie szafuję tym wyszarganym dziś tytułem—od poety, trzymającego się zdala od gwaru i rozterek polemicznych, a biorącego tylko skwapliwie w siebie wszystko, co chwila przynosi na widnokrąg piśmiennictwa naszego, od poety, mogącego niebezpiecznie uchodzić za «chłopomana» z przekonań, a idealistę z polotu ducha—otrzymałem onegdaj list obszerny. Rozpisał się, raczej: rozgadał się poufnie o «Weselu» Wyspiańskiego. Przemyślił wiele nad «najmodniej-

szym» dziś utworem, nie kwapił się z rzucaniem gdzieś na szpalty dziennika opinji, którąby mu przystosowano do rej wodzącego dziś kamertonu; tylko rzucił mi garść myśli swoich i zamknął rzecz pytaniem: co ja o tem myślę? Ja zaś to pytanie przerzucam oto w szersze grono: czytelników «Kraju». Znami niemal wszyscy «Wesela», a już chyba wszyscy bez wyjątku czytaliśmy mniej lub więcej patetyczne nad niem zachwyty. Co piszą, wiemy; pora dowiedzieć się, co myślą o «Weselu» ludzie, którym nie odmówić wrażliwości, rozsądku i artystycznego, a nawet, jak w tym wypadku, fachowego znawstwa. I przeto w imię zasady *audiatur et altera pars*, przepraszając stokrotnie przyjaciela mego za niedyskreję, to co pisze, pod sąd oddaję — współczesnych.

Pisze zaś, co następuje:

«... Ci panowie z Krakowa są chyba zahypnotyzowani. Myśl pobratania się z chłopami dobrą jest o tyle, o ile my możemy ich uszlachcić, ale bratanie się z nimi dlatego, aby schłopić siebie i dzieci swoje, niema sensu—nie na tem polega odrodzenie się przez lud. Bohaterki dramatu: gospodyni (Włodzimierzowa Tetmajerowa) i córka jej Isia nie przestały być chłopkami intelektualnie. Język dramatu, miejscami niesmaczny, gminny, nawet grubiański, dobry byłby w kilku scenach humorystycznych, ale w całości razi; tymczasem krytyka wita go, jako objawienie jakiegoś, jak gdyby prostota polegała na pewnej gminności wyrażań. Język ten, zmianierowany już, brzęczy, dźwięczy, huczy, jeży się nowotworami i ucinłowymi zdaniem i niekiedy staje się niezrozumiałym. Ciągłe natężenie myśli, aby zrozumieć, co chciał wypowiedzieć autor, nuży i odstrasza; zdaje się, że patrzymy na malowidło, pełne jaskrawych i rażących oczy barw. Jak gdyby autor przedrzeźniał «Srebrny sen Salomei», albo «Księdza Marka», ale—na sposób gminny; wspina się gwałtownie na koturny poważnego dramatu, a

urządza szopkę. Dramat, acz odznacza się wybitną jednością czasu i miejsca, uderza całym chaosem scen, nie powiązanych z sobą. W pierwszym akcie wchodzi w grę różne osoby, które, niewiadomo dlaczego, to lub owo mówią. Co nas obchodzi cynizmy poety w rozmowie z Rachelą, pannami lub dziewczkami? Rachelą zaś, mówiącą w stylu «Niepoprawnych», niewiadomo dla czego, jak Marek tłucze się po dramacie. Ten znów żyd-arendarz, mówiący o Boticellim, albo ksiądz, taki niesmaczny!..

Wielką niekonsekwencją jest drugi akt, zakrawający na parodję «Dziadów». O co właściwie idzie Stańczykowi?—nie rozumiem. Mówi dziwnie mętnie. Rozumieliśmy nieco są: «Upiór» (Szela), «Hetman», «Rycerz». W intermezzach, między jednym i drugim zjawiskiem, bohaterowie flirtują sobie, jakby w przerwie między najucieszniejszymi scenami. A pogawędki ich z duchami odbywają się w taki sposób, jak gdyby to było zjawiskiem normalnym, co dnia się zdarzającym. Szczytem dziwactwa jest pomysł wprowadzenia Wernyhory na scenę. Autor widocznie jest pod wpływem «Beniowskiego» i obrazu Matejki. Wernyhora należał do nielicznej garstki włościan, wiernych Polsce, a szedł oporem przeciw tendencjom całego swego ludu rusińskiego. Taki nie może być wodzem. Komizm polega na tem, że taki Wernyhora bawi się w budzenie ludu polskiego, specjalnie podhalskiego, o którym zapewne nigdy nie słyszał; bawi się w to, choć sam szczyry rusin. Autor nie znalazł w przeszłości chłopca polskiego, chociaż wie nieco o Głowackim, Świstackim, a słyszał zapewne o Kostce Napierskim! Albo to zagadnięcie gospodarza (Tetmajera): «Panie Włodzimierzu!» w ustach—widma. Niesmaczne. Powiązanie rzeczywistości i dziwu w dwóch aktach ostatnich, nie umotywowane legendą, podaniem lub czarami. Słowem robienie «Dziadów», w nowej postaci, autorowi nieudało się; olbrzymi pierwowzór depce w proch

ných depesz (bez drutu) ze statków na ląd stały, na odległość 168 mil, daly zadawalniający rezultat. Obecnie aparaty Marconiego posiada 70 statków (z nich 37 angielskich), i na male względnie dystansy porozumiewają się ze sobą. Stacyj bezdrutowego telegrafu jest obecnie w Anglii przeszło dwadzieścia, które nieustannie pracują nad wydoskonaleniem «cudownej» korespondencji. Marconi zamierza jaknajrychlej urządzić stacje na zachodnich prerjach Ameryki północnej, a mnożyć wciąż i mnożyć stacje doświadczalne jest w stanie, bo depeszowanie powietrzne bardzo male pociąga koszta za sobą. Wynalazca komunikuje najskrupulatniej rozwój i przebieg prób prasie. Towarzystwa eksploatujące podwodne kable, zwłaszcza Kompanja transatlantycznego telegrafu, kpią i drwią i starają się wszelkimi sposobami zdyskredytować konkurenta. Marconi rezonu nie traci i utrzymuje, że (cytuujemy dosłownie z «New-York Herald»): «depeszę z Anglii o szczegółach koronacji króla Edwarda otrzymała w lecie bieżącego roku Ameryka—przez powietrze». Bagatel! W nocy z d. 11 na 12 grudnia r. z., wysłaną przez angielski aparat literę S. pochwylił najwyraźniej i zanotował aparat amerykański! Dlaczego nie całe słowo jakie, ale tylko literę? dlaczego właśnie literę S? To już tajemnica Marconiego. Dość, że litera S. przebiegła już przez Atlantyk—powietrzem. Marconi otrzymał mnóstwo powinszowań. Ale—jest jeden niepokojący szczegół. Oto przy amerykańskim aparacie, w chwili otrzymania owej litery S, wysłanej z Anglii, znajdował się tylko sam Marconi ze swoim asystentem. Głowy nie dać, że się tym panom nie przesłyszalo.

Fachowe czasopismo, bardzo poważne, londyński «Elektrician», nie wierzy w słynną już dziś literę S. Powiada nadto, że depeszę, przesyłaną przez powietrze, może pierwszy lepszy ustawiony po drodze aparat przejąć, co, przyznać trzeba, np. w czasie wojny, bardzo być może niepożądanem. A i wogóle «Elektrician» wątpi, aby tajemnica depesz bez drutu mogła być dochowana. Z innej strony: istota wynalazku Marconiego: to dotąd sekret. Tedy trudno o niej debatować. I wreszcie sam «Elektrician» przyznaje, że próby Marconiemu udać się mogą. To już wiele.

Marconi, rozumie się, głosów takich nie zostawia bez odpowiedzi. W mowie, wypowiedzianej zaraz po nowym roku, podczas obiadu, wydanego na jego cześć przez «American institute of electrical engineers» oświadczył, iż nie obawia się wcale przejmowania depesz, bo depesza—mówiąc popularnie—idzie prosto, nie zbaczając z drogi, do aparatu, ściśle przystosowanego do wysyłającego aparatu. Do żadnego innego, by się tak wyrazić—nie dopada. Otóż obecnie są cały dokonywanych doskonale polega na ścisłym do ostatecznych granic przystosowaniu do siebie dwóch aparatów. Muszą być identyczne, a nie są jeszcze.

Tak stoi sprawa w chwili obecnej. Znawcy powiadają: możliwem jest przesyłanie depesz bez drutu z Ameryki do Anglii, a Marconi twierdzi wręcz: będą depesze bez drutu przesyłane przez Atlantyk. Warto spodziewać się. Tylko,

gdy pierwsza powietrzna depesza przeleci przez ocean, nie wolajmy, że to szczyt tego, co osiągnąć mogą pomysłowość i umysł ludzki! Są rzeczy jeszcze niemożliwsze, które możliwemi się stana, jeśli nie dla nas, czytających te słowa, to dla tych, co po nas przyjdą. Taki już bieg rzeczy na ziemskim padole.

Alf.

LUDWIK ŚLIWIŃSKI.

Teatry warszawskie pozyskały nowego prezesa w osobie r. st. Hoerschelmana, który objął urządowanie, na przewodnika artystycznego t. j. reżysera dwóch połączonych scen Rozmaitości i Nowości, wybrał p. Ludwika Śliwińskiego, dotychczasowego reżysera krotchwil i operetki.

Nominacja ta nie była niespodzianką dla Warszawy; od paru miesięcy *vox populi* wymieniał nazwisko p. Śliwińskiego, jako upatrzonego kandydata, który w danych warunkach miał najwięcej widoków do zajęcia tej posady. P. Śliwiński uprawiał dotąd



L. Śliwiński, nowy reżyser komedji i dramatu sceny warszawskiej.

wprawdzie mniejszy rodzaj sztuki na scenie, poświęconej tylko wesołej twórczości, ale w tym kierunku okazał niepospolitą zdolność, staranność, energię i poczucie scenicznego efektu. Kiedy przed laty dwunastoma—w lipcu 1889 roku—obejmował reżyserję teatru Małego, stawał właściwie na ruinach sceny, skazanej, po niefortunnych próbach, na zupełną zagładę; był wówczas młodym, rzutkim, sprytnym aktorem, który od kilku lat pracował na scenie warszawskiej po przybyciu z Galicji, pisywał wiadomości teatralne w rozmaitych redakcjach i próbował pióra w tłumaczeniach i lokalizowaniu niemieckich fars, grywanych jednak z dużym powodzeniem na Małej scenie.

Kiedy mu powierzono kierownictwo trzeciej sceny, kiwali głową artyści i krytycy z niedowierzaniem; przypuszczano bowiem, że to będzie jeden więcej z niendalnych, ale ostatnich eksperymentów dyrekcji; tymczasem p. Śliwiński zrobił wszystkim niespodziankę bardzo przyjemną. Stworzył repertuar, zorganizował dobrany personel, zaimponował wystawą, a pod względem artystycznym, szczególnie w doskonałym zgranym zespole, podniósł poziom trzeciej sceny do tego stopnia, że ją za wzór stawiano nawet Rozmaitościom. Jako kierownik operetki nie mniejsze położył zasługi i niezwykle wykazał zdolności. Swoją gorliwą, niezmierną pracą i starannością uratował byt trzeciej sceny i zapełnił teatr na każdym przedstawieniu wtedy właśnie, kiedy komedja, dramat i opera przestawały dawać dochody.

Sprzyjało mu też przez tych lat dwanaście wyjątkowe powodzenie.

Obecnie powołany został do wyższej godności i trudniejszego zadania; oprócz krotchwil i operetki, przeszły pod jego kierownictwo tragedia, dramat i komedja. A zadanie to polega na tem, aby scenę warszawską pod względem artystycznym i repertuarowym wyrwać z zastoju, aby przyciągnąć znowu publiczność i zwiększyć dochody dla pokrycia fatalnego niedoboru, aby zaprowadzić większy ład i większą karność za kulisami, a tym obowiązkiem, wierzymy, nowy reżyser da radę. Na najlepszych chęciach i ambicji mu nie zbraknie.

M. Ar.]

JĘZYK POLSKI

NA KONGRESIE W PETERSBURGU.

Podczas odbytego w grudniu r. z. w Petersburgu zjazdu przyrodników i lekarzy rosyjskich, z udziałem zaproszonych uczonych i specjalistów słowiańskich, przemawiał—jak zdaliśmy sprawę w N-rze 1 «Kraju» z r. b.—delegat lekarzy polskich w Galicji, dr. Bolesław Wicherkiewicz, w języku polskim. Fakt ten, komentowany obszernie w całej prasie polskiej zakordonowej, wywołał ze strony d-ra Wicherkiewicza zwięzłą o wycieczce do Petersburga relację, zamieszczoną właśnie w «Czasie» i wyświetlającą kategorycznie genezę wystąpienia delegata, oraz okoliczności, towarzysząca onemu. Rzecz swoją zamknął dr. Wicherkiewicz zanotowaniem wrażeń kilku, dopełniających niejako faktyczne sprawozdanie, którego oto osnowa:

Zjazd lekarzy słowiańskich miał odbyć się w Paryżu latem 1900 r., w czasie międzynarodowej wystawy, dla wzięcia udziału w międzynarodowym lekarskim kongresie. Zawiązany w Pradze komitet narodowy czeski toczył w sprawie tej narady z takimże komitetem, zawiązanym w Krakowie, a którego przewodniczącym był dr. Wicherkiewicz. Chodziło o zbliżenie się szczepliwo słowiańskich na polu naukowym i myśl tę komitet polski poparł jaknajgoręcej. Podczas dziewiątego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, wspólnie z przybyłymi na zjazd czechami omówione zostały zasady wspólnej akcji na kongresie w Paryżu i w dwa miesiące potem (lato 1900)—pisze dr. Wicherkiewicz—zebraliśmy się w stolicy Francji.

Podczas naradzania się tam nad sposobami zbliżenia się ze sobą słowiańskich uczonych wogóle, a lekarzy w szczególności, zaznaczył wyraźnie dr. Wicherkiewicz (jako jeden z delegatów lekarzy polskich) stanowisko w akcji tej polaków. Postawił jako główny i zasadniczy warunek «zupełnie szczerze równo-



Brama główna pałacu Cesarskiego w Pekinie, przez którą wkroczył do rezydencji swojej monarcha chiński, odbywszy wjazd uroczysty do odzyskanej stolicy.

uprawnienie językowe wszystkich kulturalnych narodów słowiańskich, zastrzegając się przeciw jakiegokolwiek hegemonji któregokolwiek z nich». Uchwalono wydawanie czasopisma lekarskiego «Revue générale médicale slave», utworzenie komisji dla badania źródeł słowiańskich wyrazów lekarskich i wyszukiwania nazw lekarskich, któreby wszystkie języki słowiańskie przyjąć mogły, i t. p. Myśl zaś zupełnego równouprawnienia językowego na zjazdach lekarskich przyjęto jednogłośnie, a dla prowadzenia dalej zapoczątkowanej nad Sekwaną akcji wybrano stały komitet. Na czele tego komitetu, złożonego z lekarzy różnych słowiańskich narodowości, stanął prof. dr. Ott z Petersburga.

Komitet miał między innymi zorganizować zjazd lekarzy słowiańskich, w duchu i na zasadach w Paryżu uchwalonych, ale dotychczas zjazd taki nie nastąpił.

Tak rzeczy stały, gdy w lecie r. z. szereg lekarzy polskich w Galicji otrzymał zaproszenia na zjazd przyrodników i lekarzy rosyjskich, mający odbyć się w Petersburgu. Zaproszenia zredagowane były w języku rosyjskim. Po kilku miesiącach (już w grudniu r. z.) nadesłano z Petersburga powtórne zaproszenia w języku francuzkim, a podpisane przez prof. Łukjanowa. Jednocześnie zaś pojawia się w czeskim czasopiśmie lekarskim («Casopis lekaru českých») oświadczenie, że na w mowie będącym zjeździe petersburskim języki słowiańskie dopuszczone będą do rozpraw.

Tedy lekarze krakowscy, na pofnem zebraniu, postanawiają wy-

śłać swego oficjalnego przedstawiciela do Petersburga i delegację tę powierzają dr. Wicherkiewiczowi. Dr. Wicherkiewicz mandat przyjmuje, bo—pisze—«uważałem za obowiązek nie uchylać się od zawiązania ściślejszych stosunków naukowych z narodem, który właśnie w ostatnich czasach okazał na polu naukowym wiele żywotności i wiele inicjatywy, ponieważ przekonany jestem, że wspólna praca naukowa może wpłynąć na obudzenie plemiennej zycliwości oraz wzniesienie się po nad uprzedzenia i stronniczość».

„Przybywszy do Petersburga w styczniu (n. s.), udałem się na uroczyste otwarcie zjazdu. W ogromnej, pięknej sali, przy nader liczny udział, otworzył zjazd książę Oldenburgski, zasłużony założyciel wspomnianego instytutu medycyny eksperymentalnej.

„Kiedy oświadczyłem osobistościom, zajętych urządzeniem zjazdu, że pragnąłbym zabrać głos imieniem nauki polskiej w Galicji, napotkałem na przyjęcie bardzo uprzejme—natomiast wyniosłem wrażenie, iż do pewnego stopnia wywołała zaniepokojenie zapowiedź, że będę przemawiał po polsku. Położenie moje stało się jeszcze trudniejszem, gdy zabrał głos imieniem Akademii Umiejętności w Pradze prof. Brauner—po rosyjsku. Wobec tego postanowiłem na razie nie przemawiać wcale, nie chcąc się zgodzić na nżycie jakiegokolwiek innego języka, prócz polskiego. W ciągu dni następnych odbyłem ponownie szereg konferencji z przewodniczącym komitetu zjazdu prof. Miesztutkinem, z prof. Łukjanowem, Ottem, Sklifassowskim i innymi. Poddawano mi myśl, by przemawiać po polsku, a następnie po francuzku; nie mogłem się na to zgodzić, bo wychodziło to na przemawianie po francuzku, a w każdym razie z ujmą dla języka polskiego, jako kulturalnego.

„Rzecz szczególna—postanowienie moje wygłoszenia polskiej przemowy, z największym zdziwieniem przyjmowali polacy, którzy na podstawie znajomości lokalnych stosunków, zapewniali mnie, że przemawianie po polsku na publicznem zebraniu, i to ze-

braniu oficjalnem rosyjskiem w Petersburgu, jest rzeczą zupełnie niezwykłą.

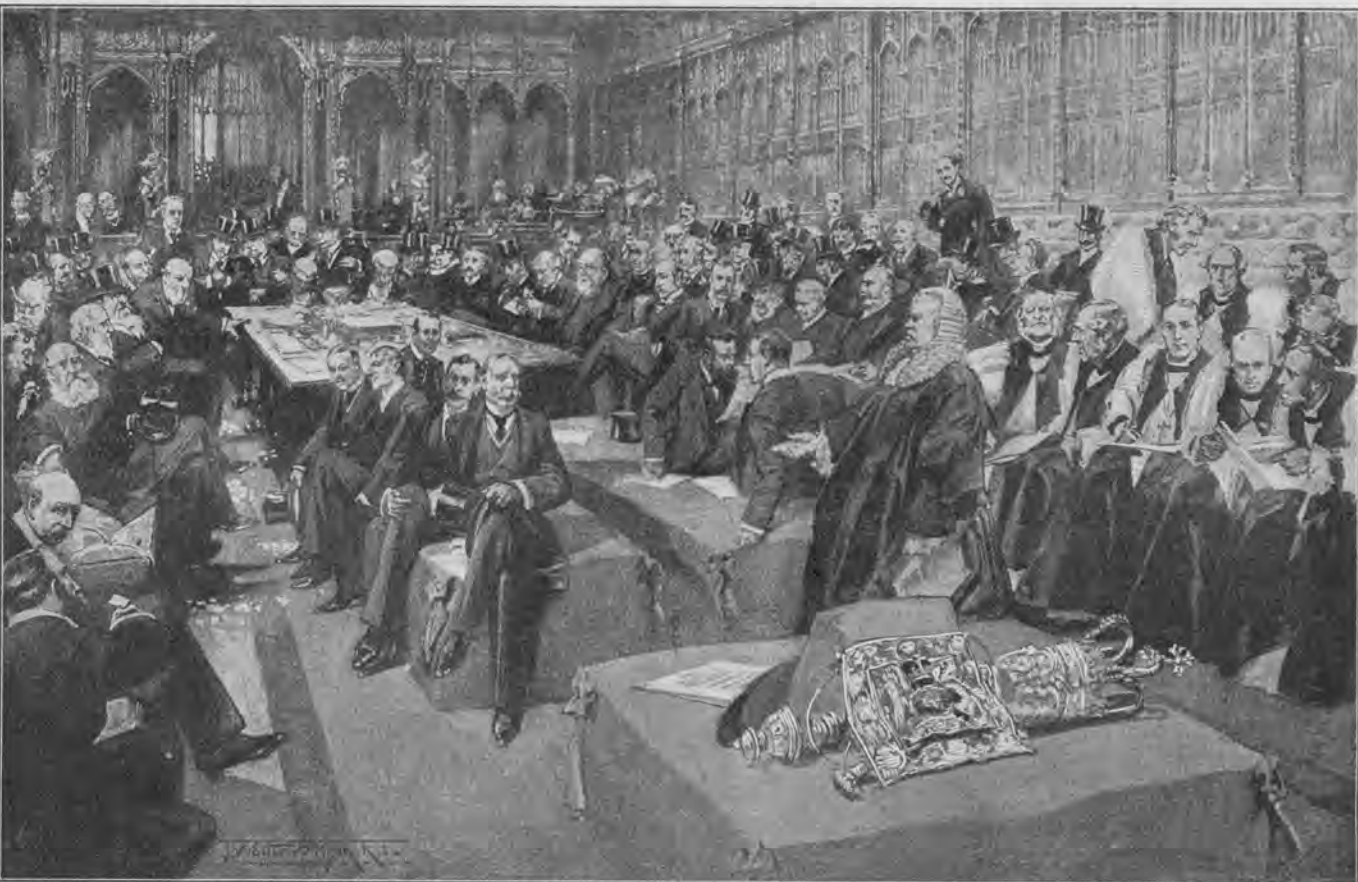
„Po kilku dniach pertraktacji okazał się prof. Miesztutkin skłonny do dopuszczenia przemówienia polskiego, i oświadczył, że sam rosyjskie tłumaczenie przemówienia odczyta na zgromadzeniu, wyrażał żal, że nie mogło to się stać zaraz przy otwarciu, i prosił, by dla powetowania straty, przemawiać zaraz na następnem ogólnem zebraniu. Na żądanie skreśliłem przemówienie, które dr. Polak z Warszawy uprzejmie na język rosyjski przełożył, i stosownie do wyrażonego życzenia, prof. Miesztutkinowi wręczył. Wiadomość, że będzie polskie przemówienie, rozeszła się szybko po Petersburgu. Sala Sobranja dnia 8 stycznia zapełniła się po brzegi; prócz uczestników zjazdu pojawili się goście, wysocy urzędnicy, wojskowi, panie. Przed rozpoczęciem obrad oświadczył prof. Miesztutkin, że przemawiać będą imieniem lekarzy polskich w Galicji. Zapowiedź powitano oklaskami, które powtarzały się w czasie mowy, po jej ukończeniu, zwłaszcza po odczytaniu tłumaczenia jej na język rosyjski przez przewodniczącego».

Przebieg zjazdu nie wchodzi w zakres relacji polskiego delegata. Wzmiankuje o nim tylko dr. Wicherkiewicz, o zebraniu towarzyskiem dla wzajemnego zapoznania się, o widowisku teatralnem w «Narodnym domu», o przyjęciu w Ermitażu. Po za sesjami i zebraniem towarzyskiem zwiadał dr. Wicherkiewicz miasto (pierwszy raz w życiu oglądane) oraz instytucje lecznicze.

„Dla lekarza, bawiącego w Petersburgu, nie mogły pozostać bez interesu urządzenia zakładów klinicznych i naukowych. Korzystając z uprzejmości częścią prof. Mierzejewskiego, częścią Władimirowa, którzy oświadczyli gotowość oprowadzania mnie i towarzyszy moich prof. Kadera i d-ra Malesszewskiego z Karlsbadu, zwiedziłem znaczną ich liczbę.

„Nie posiadając dość języka rosyjskiego, nie mogłem śledzić toku obrad ani na zgromadzeniach walnych, ani w sekcji lekarskiej, odbywającej posiedzenia pod przewodnictwem prof. Łukjanowa. Skorzystałem zato z zaproszenia d-ra Zaleskiego, b. prof. w Tomsku, obecnie referenta spraw chemji i balneologii w ministerstwie oświaty (ożenił się ze znaną pianistką p. Iwanowską) i i wzięłem wraz z prof. Kaderem i Malesszewskim udział w posiedzeniu koła lekarskiego, polskiego Tow. dobroczynności przy kościele św. Katarzyny. Koło to zastępuje Tow. lekarzy polskich; istnieje dopiero od dwu miesięcy, skupia jednak już znaczny zastęp praktyków i teoretyków medycyny, pod przewodnictwem d-ra Strawińskiego. Doznaliśmy niezwykle serdecznego przyjęcia. Kilka wygłoszonych odczytów odznaczało się pogłębieniem naukowym; w dyskusji po ich wygłoszeniu poruszono szereg spraw aktualnych, między innymi także oczywiście kwestję językową na zjazdach słowiańskich, przyczem z przyjemnością przyszło mi stwierdzić, iż stanowisko moje zupełnie równouprawnienia powszechnie podzielano.

„W kilka dni później znaleźliśmy się znów w tem samem miłym gronie petersburskich lekarzy polskich, na obiedzie, wydanym dla nas. W obiedzie, którego urządzeniem w głównej mierze zajmował się prof. Zaleski, wzięło udział około stu osób. Do grona zaproszonych gości należeli nadto prof. Rothert z Charkowa, prof. Kamiński z Odessy, dr. Noiszewski z Dźwińska. Nie potrzebuje dodawać, jaki panował nastrój, jakie podniesienie ducha z powodu możności bliższego poznania się i swobodnej wymiany myśli».



Izba lordów parlamentu angielskiego. Król Edward dokonał z tradycyjną uroczystością (16-go b. m.) aktu otwarcia obu Izby parlamentu angielskiego. Od lat czterdziestu nie widział Londyn szklanej, suto złoconej karety monarszej, ciągnionej przez ośm „izabelowych“ koni, niezmiernie rzadkiej maści (żółtawe, z białymi grzywami i ogonami), zajeżdżającej, na czele ogromnej świty, przed portyk Westminsteru. Ilustracja powyższa jest wiernym odtworzeniem pierwszego, po otwarciu, posiedzenia Izby wyższej, t. zw. lordów. Ani Izba deputowanych, ani Izba lordów nie mają w Anglii wyglądu amfiteatrów sejmowych na kontynencie. Są to, jak widzimy, zwykłe sale z dość niewygodnymi siedzeniami. W głębi, po prawej stronie stołu, siedzi sędziwy, brodaty lord

Salisbury; po jednej jego stronie lord Londonderry (niósł miecz królewski w czasie otwarcia), po drugiej lord Lansdowne. Młody lord Rosebery stoi na ostatnim planie, obok dwóch lordów w cylindrach; na pierwszym planie, w pośrodku, twarzą do widza, z kapeluszem w rękę lord Clarendon, a obok niego lord Pembroke. Same szumnie brzmiące, historyczne nazwiska. W pobliżu Salisbury, na jednej ławie, duke of Devonshire, który co tylko, podczas uroczystości otwarcia, niósł koronę królewską. Przemawia w tradycyjnym, oficjalnym stroju, w płaszczu i peruce, lord-kancelarz Halsbury. Po prawej stronie dostojnicy kościoła: arcybiskup z Canterbury, biskup Londynu i t. d.

Rzecz oczywista, że stykającemu się z różnorodnymi sferami inteligencji stołecznej delegatowi nasuwać się niejednokrotnie na myśl musiało pytanie: jakim jest w Petersburgu usposobienie ludności rosyjskiej dla Polaków? Krótkość pobytu nad Nową dać oczywiście mogła nie odpowiedź stanowczą, jeno—wrażenia. Wrażenia te jednak były dość silne, skoro formułuje je dr. Wicherkiewicz w następujący sposób:

„Jestem przekonany — pisze — że na wyraźny znak z góry nie brakłoby objawów sympatii dla nas rzeczywistej, naturalnej bo plemienniej, dziś jeszcze skrzepowanej względami politycznymi“.

Co zaś do przyjęcia gościa polskiego i mowy polskiej, rozbrzmiewającej w ustach jego na zjeździe rosyjskich uczonych, oświadcza dr. Wicherkiewicz wyraźnie a ze spokojną rozwagą:

„Daleki jestem, aby oddawać się złudzeniom na przyszłość. Przyszłości tej ukształtowanie zależy od nas samych, od naszego politycznego rozumu, od pracy cichej, spokojnej, wytrwałej nad podniesieniem się tak

ekonomicznym jak moralnym, a przede wszystkim od losów, którymi Opatrzność kieruje. Winienem jednak zaznaczyć, że nie tylko przemówienie moje i wystąpienie w imieniu galicyjskich lekarzy oklaskiwano, ale i ubocznie słysząc się dawały głosy społeczeństwa rosyjskiego witające gościa polskiego serdecznie. Z zadowoleniem zaś podniósł jeden z przodowników rosyjskich zjazdu, po moim przemówieniu, że ziarno łączności rzuconem jest, i że żywi nadzieję, iż wyda ono plon pożądany“.

Pod takim wrażeniem i takie unosząc z sobą wspomnienia, delegat krakowski opuścił Petersburg. Uważaliśmy za obowiązujące i pouczające zanotować i jedno i drugie w kronice chwili bieżącej.

Ref.

ZDANIA.

Wszelki początek — łatwy; najbardziej ciężkim jest wytrwanie, które, jak wiadomo, najpewniej do celu prowadzi.

Nie trudno zostać pesymistą; o wiele trudniej przestać nim być.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

POLAK W DRAMACIE WŁOSKIM.

W Turynie i Genui wystawiono temi dniami nowy 4-aktowy dramat p. t.: „Romantyzm“ Hieronima Rovetty, znanego powieściopisarza i dramaturga. Akcja rozgrywa się około roku 1854 w Lombardji, w czasie panowania austriackiego w Lombardji i Wenecji. Temu też patriotycznemu znamieniu zawdzięcza sztuka Rovetty wielkie powodzenie. Występuje w niej emigrant polak, niejaki Czeski, postać całkiem fikcyjna, która potrzebna była autorowi tylko do rozwiązania intrygi, i to w sposób, za jaki nie możemy mu być wdzięczni. — Oto treść utworu: W Como zbierają się w tylnych pokojach apteki Anspertego rozmaici włosi, spiskujący przeciw panowaniu austriaków. Spiskuje też młody arystokrata, dobrze widziany na dworze arcyksięcia Reintera, wicekróla Lombardji, hrabia Lamberti. Zonatem jest. Do nadobnej żony jego, Anny, zaleca się romantycznie-egzaltowany polak, Czeski, sekretarz jej męża. Pewnego dnia, kiedy miłość emigranta silniej wybucha, Anna nakazuje mu milczenie, gdyż kocha swego męża. Wobec tego Czeski oznajmia, że zabije się z rozpacz, ale wpraw z zemsty zadenukuje jej męża. Zdradza więc hrabię przed policją austriacką. Sztuka kończy się sceną, kiedy hr. Lamberti ma być aresztowany... Uciekać nie chce, pomimo zaklęć matki — i wśród tej tragicznej sytuacji zasłona spada. Czeski tymczasem palnął sobie w łeb... Sztuka słaba, ale z powodów wyżej rzeczonych ma wielkie powodzenie. Szkoda, że włoskiemu pisarzowi, ot, tak, bez namysłu, wpadło pod pióro nazwisko polskie! Czeski mógł być zarówno dobrze portu-

galczykiem, jak szwedem lub belgiem, albo włochem. Żadnych cech polskich nie posiada, żadnych, nie wyłączając tej ostatniej, co przyprowadza o zgubę hrabię. Nie dziwilibyśmy się, gdyby... zabił męża Anny; że go „wydał“ mamy prawo dziwić się — jako polacy. C.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Nowa wyprawa w okolice bieguna południowego, przedsięwzięta przez uczonych niemieckich, wyrusza w r. b. i trwać będzie do r. 1903. W różnych punktach drogi będą dokonywane na okręcie sprostzenia meteorologiczne zarówno w dolnych, jak i w górnych warstwach atmosfery. Do współudziału w pracy są powołane obserwatoria, leżące na półkuli południowej, począwszy od 30° szerokości południowej. Jednocześnie mają być dokonywane według z góry nakreślonego planu pomiary magnetyczne na całej kuli ziemskiej, od lutego 1902 r. do lutego 1903 r., dwa razy na miesiąc; celem tych pomiarów jest oznaczenie zmian magnetycznych, zachodzących na powierzchni ziemi.

+ Czasopismo „Stein der Weisen“ podaje łatwy sposób obliczenia szybkości pociągu: należy tylko zapamiętać cyfry: 22, 33, 44. Otóż jeżeli szyny kolejowe mają długości po 6 metrów, w takim razie należy zachować liczbę stuknięć koła wagonowego na połączeniach szyn w ciągu 22 sekund i otrzymana liczba będzie oznaczała liczbę przebieżonych przez pociąg kilometrów w godzinę. Jeżeli szyny mają po 9 metrów długości, to trzeba liczyć stukanie w ciągu 33 sekund, gdy zaś długość szyny wynosi 12 metrów, to do obliczeń trzeba użyć 44 sekund. Szyny wyrabiają się tylko w tych trzech długościach.

+ W „Naturwissensch. Wochenschrift“ opisane zostały doświadczenia Weismanna nad zmianą ubarwienia motyli pod wpływem temperatury. Poczwarki zwykłej kapustnicy, wyhodowane w lodowni przy 4 do 6 stopni zimna, dały odmianę, znaną w Laplandji; inne zaś, wyhodowane w temperaturze 37—39 stopni ciepła, wydały z siebie motyle o bardzo żywych barwach, zamieszkujące Sycylię i Korsykę.

Literackie.

+ W Kijowie ukaże się w tym roku zbiorowe wydanie powieści Elizy Orzeszkowej, w przekładzie na język rosyjski, w ośmiu tomach. Znakomita powieść tejże autorki p. t.: „Argonanci“, która wyszła niedawno w New-Yorku w przekładzie angielskim, dokonanym przez Jeremiasza Curtina, tłumacza dzieł Sienkiewicza, doczekała się gorącego przyjęcia ze strony krytyki amerykańskiej. Z innych prac Orzeszkowej ukazały się w Sztokholmie w przekładzie szwedzkim, dokonanym z oryginału przez pannę Ellen Wester: „Dziurdziowie“, pod zmienionym tytułem: „Haexan“ („Wiedźma“). Okładkę zdobi ry-

sunek szwedzkiego artysty Forstroma, odtwarzający jedną ze scen tej powieści, przy wiernym zachowaniu typów i kostiumów włościan naszych. Piękny obrazek naszej autorki „Siteczko“ przełożona na język fiński pani Maila Mikkola (Talvio), żona profesora języków słowiańskich na uniwersytecie w Helsingforsie. Przekład ten p. t.: „Seula“, ukazał się w czasopiśmie fińskim „Valvoja“. W popularnej zaś Bibliotece Kürschnera („Kürschners Bücher-schatz“) ukazał się w ostatnich czasach przekład „Czciciela potęgi“, dokonany przez warszawiankę, p. Malwinę Blumberg.

+ Neapolitański dziennik „Corriere di Napoli“ rozpoznał druk „Faraona“, Prusa. Jednocześnie dziennik ten zamieszcza w tłumaczeniu, dokonany zarówno jak i przekład powieści przez Fryderyka Verdinio, żarłacz sceniczny H. Sienkiewicza, przedstawiający kłopoty literackie Bolesława Prusa, a poświęcony Prusowi w czasie jego jubileuszu w r. 1897. Rzymski miesięcznik „Ateneo“ wydrukował małą nowelkę Prusa „Pieśń świata“ („La muffa del mondo“).

+ W Paryżu przy Bibliotece polskiej rozpoczęto budowę Muzeum Adama Mickiewicza, gdzie będą umieszczone wszystkie zabytki po wielkim poecie, zebrane przez jego syna, Władysława Mickiewicza. Tam także wejdą zbiory, nabyte ostatnimi czasy od rodziny Ignacego Domejki, bruljony niektórych poezji A. Mickiewicza, listy Skrzynieckiego, Garczyńskiego, Zaleskiego i in.

+ Wydawany w Krakowie „Przewodnik Bibliograficzny“, założony przez d-ra Wład. Wisłockiego, obchodził d. 1 stycznia dwudziestą piątą rocznicę ukazania się pierwszego numeru. Redakcję od nowego roku objął zięć założyciela, dr. Julian Gertler. Miesięcznik ten podaje bibliografię wszystkich książek i miesięczników polskich, dzieł, napisanych przez Polaków w językach obcych i utworów cudzozińskich, traktujących o rzeczach polskich.

+ U Płona w Paryżu p. Kazimierz Stryjeński wydał w języku francuskim dzieło historyczne p. t.: „Matka trzech ostatnich Burbonów Marja-Józefa Saska i dwór Ludwika XV“.

+ Petersburska Akademia sztuk pięknych zamierza złożyć w darze dla Muzeum im. Aleksandra III żeński portret, wykonany przez Jana Ciągłłóskiego. Portret ten znajduje się obecnie w sali posiedzeń Akademii.

Artystyczne.

+ D. 5 b. m. zmarł w Warszawie w szpitalu Dzieciątka Jezus, w wieku lat 60, s. p. Feliks Sypniewski, znany artysta malarz, twórca dzieł: „Sobieski pod Wiedniem“, „Aldona Kiejstutówna“ i wielu innych, które zjednały mu rozgłos. Zmarły mieszkał sam, więc gdy zasłabł, rzadca domu odwiózł go do szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie przez pomyłkę zapisany został jako Cetliński. Pod tem też nazwiskiem pochowano go na cmentarzu brudzińskim. Dopiero teraz, spisywanie rzeczy zmarłego wykryło pomyłkę i ogół

KRONIKA POŚMIERTNA.



Alois Hertz, b. dyrektor b. Banku Polskiego, zmarły w Warszawie 4 stycznia 1902 r.

dowiedział się o śmierci artysty. S. p. Sypniewski należał z ducha i techniki do epoki Lessera i Suchodolskiego, obrazy jego mieć dziś mogą jedynie wartość historyczną. Duże błędy rysunkowe, sztywność, nikłość kolorytu, kompozycja szablonowa, mogły liczyć na pobłażanie wówczas, gdy w obrazach przedwzrostkiem fabuły. Tematy obrazów Sypniewskiego, historyczne, to znów batalistyczne, odpowiadały upodobaniom z przed lat.

+ W czasopiśmie niemieckim „Deutsche Revue“ Joanna Kinkel ogłosiła pracę o Fryderyku Chopinie p. t.: „Friedrich Chopin als Componist“.

+ Stanisław Witkiewicz opracował projekt kościoła katolickiego w stylu zakopiańskim.

+ W lutym r. b. w Rzymie otwarta będzie wystawa międzynarodowa „Blanc et Noir“, i trwać będzie do końca maja.

+ Bronisław Huberman koncertował z wielkimi powodzeniem w Rumunji. Na zaproszenie królowej grał też kilka razy w pałacu królewskim. Na pożegnanie królowa ofiarowała mu swój portret z odpowiednim napisem, oraz wysadzana brylantami szpilkę do krawata.

+ W Medjolanie, nakładem księgarza Hoeppli wyszło z druku dzieło, traktujące o śpiewie p. t.: „Il canto nel suo meccanismo“. Autorem jest nauczyciel śpiewu w Medjolanie p. Guetta. „Dzielo to—mówi „Kurj. Teatr.“—napisane z wielką znajomością rzeczy, jest wyczerpująco opracowane. W tekście spotykamy liczne rysunki, przedstawiające krtań w rozmaitych przecięciach i t. p.“.

Teatralne.

+ Donoszą nam z Rzymu: „W d. 29 stycznia obchodzi słynna niegdyś artystka dramatyczna włoska, Adelajda Ristori, 80-tą rocznicę urodzin. Ristori zamieszkuje obecnie, jako margrabina Capranica del Grillo w Rzymie, gdzie była w towarzystwie arystokratycznym. Jej syn jest szambelanem królowej-wdowy Małgorzaty. Rocznicą urodzin Ristori, najznakomitszej gwiazdy scenicznej włoskiej, obchodzoną będzie we Włoszech w teatrach nadzwyczajnie przedstawieniami, specjalnie zaś na cześć Ristori danem

FOTOGRAFJE AMATORSKIE.



ROZLEW WIOSENNY. (Powiat ślucki).

E. E. REPIN.



W grudniu r. ub. obchodzono 30-lecie artystycznej twórczości jednego z najznakomitszych malarzy nietylko rosyjskich, ale w ogóle współczesnych. Eljasz Repin (ur. 1844 r.) otrzymał lat trzydziści temu wielki złoty medal Akademii sztuk pięknych za „Hioba z towarzyszymi“. Nie poszedł dalej w kierunku akademickim. Realistą jest, psychologiem i filozofem w znanych obrazach swoich: „Zaporożcy, piszący list do chana“, „Burfa-ry“, „Nie oczekiwali“, „Iwan Groźny“, „Pojedynek“, oraz w świetnych portretach. Repin jest też niepospolitym pisarzem. Pamiętne dla nas, Polaków, jego gorące, szczerne i piękne listy o Matejce i malarstwie naszym.

ZAWIADOMIENIA.

WILNO. ZENON JAKUBOWSKI.

Najnowsza szkoła na fortepian dla kształcących się specjalnie. Metoda parzyckiego konserwatorium. W sprawie rb. 6. Skład u autora. Nadbrzeźna, d. Okusko. (4042)

Księgarnia K. Grendyszyńskiego w Petersburgu, ul. Jekateryńska № 2, dostarcza wszystkich książek polskich po cenach katalogowych.

HUMORYSTYKA

Rysunek F. Kostrzewskiego.



W CUKIERNI.
— Coż to?... Czy nie dołączam się nigdy tej gazety?
— A no, nie wiem...
— Ile pan ma lat?
— Siedemdziesiąt sześć... i bardzo pana za to przepraszam!

Nasza karta albumowa

Hermes (Merkury) przywiódł dusze, co z ziemią rozstać się muszą i zejść do otchłani, nad brzeg Acheronu — i skinął na Charona, aby w łodzi swej począł przewozić je na „tamten brzeg“.

zkał niema powrotu. Grozy pełna ta rzeka, oddzielająca świat żywych od przybytku umarłych, dusze w pełnej jeszcze sile, niektóre w kwiecie wieku, nawet dzieci nie brak, a postać wiosłującego Charona już ukazuje się w głębi, na czarnych wód odmęcie, pod strumym zrębem skały (na obrazie, po lewej stronie — w dali). Tedy dusze wyciągają ręce błagalne do nieubłagane-go wykonawcy nieubłaganej woli bogów; proszą go: nie oddawaj nas jeszcze Charonowi, żyć jeszcze pragniemy!... A Hermes milczy, nie drgnął, znane mu te wybuchy buntujących się sił żywotnych... a łódź Charona cicho nadpływa coraz bliżej, nadpływa. Oto motyw greckiego mitu, który zobrazował niepowszedni artysta Hiremy-Hirschl, — czyniąc studja „na miejscu“, bo Hermes i Charon nie istnieją już od wieków, ale Acheron, rzeka grecka, wciąż roztacza nurty swoje po przez skal ponure przepaście i rozpadliny, po przez błotne, obumarłe jeziora, w dolinę Epiru. Zwie się dziś mitologiczna rzeka — Fanariotikos. Reprodukcyjnie obrazu wykonał w podwójnej autotypii zakład Meissenbacha i Riffarta. Odbito w drukarni „Kraju“ Treunkego i Fusnota.

Despagnet Fr. „La question Finlandaise au point de vue juridique avec l'adhésion de J. Aubry, L. Barde, E. Barreme etc.“ Paris, 1901. Larose (84 s., 8-0).

Jest to przytyczka do kwestji fińskiej, która, zwłaszcza w Niemczech, wywołała w ostatnich czasach całą literaturę. Charakterystycznym jest, że autor niniejszej interesującej książki prosił 12 swoich kolegów — prawników o poświadczanie w końcu książki, że zgadzają się z jego poglądami. Jest to nowość.

Goldmann Salka. „Danziger Verfassungskämpfe unter polnischer Herrschaft“. Leipzig, 1901. Teubner. (VI 121 s. 8-0). M. 4.

Książka niniejsza znajduje się poniekąd w związku z dawniejszym znacznie dziełem Th. Hirscha, p. t.: „Danziger Handels- und Gewerbe-geschichte unter der Herrschaft der Deutschen Ordens“. Kreśli ona zajmującą dzieje Gdańska, opowiada o walkach tego miasta w celu zachowania politycznej niezawisłości, o zmiennych chwilach to krzepnięcia władzy królów polskich nad bogatym miastem portowym, zkał Polska czerpała środki finansowe dla zapewnienia opóźnionego przez wojny skarbu; to znowu o upadkach tej władzy, gdy rada miejska wolnej gminy, dzięki rzeźniczej polityce i rozwojowi materialnemu, zyskiwała „moc prawie królewską“.

Scheiner J. „Der Bau des Weltalls“. Mit 24 Figuren im Text und auf Tafeln. Leipzig, 1901. Teubner. (141 str. 8-0). M. 1,15.

Polcamy tę książkę polskim tłumaczom dzieł z zakresu popularnej literatury naukowej. Autor jej, jeden z najlepszych znawców astrofizyki, nader treściwie i niezwykłe jasno przedstawił obraz budowy wszechświata.

Pr. wydawców i księgarzy, nadsyłających nam książki, prosimy o oznaczenie na nich ceny.

tuar Narodnego Divadla w Pradze.

+ W Łodzi wystawiono z powodzeniem nowe sztuki: Stanisława Graybnera „Salamandra“ i M. Barcińskiego „Niewolnice“.

+ W operze Humperdincka „Jaś i Malgosia“, która przed kilku dniami wystawioną została po raz pierwszy w Warszawie, wystąpiły dwie młode śpiewaczki, pp. Bąkowska i Marja Kamińska, znane z kilkakrotnych występów na estradach koncertowych, świeżo zaangażowane przez dyrekcję teatrów warszawskich.

+ Leoncavallo napisał, na zlecenie cesarza Wilhelma, operę p. t.: „Roland berliński“.

+ Pianisci: Józef Hoffman i Józef Sliwiński koncertują w Ameryce północnej z wielkimi powodzeniami.



Waldeck-Rousseau, prezes ministrów francuzkich. Rysunek z natury, wykonany przez korespondenta „Monde Illustré“ w styczniu r. b., podczas bankietu w Saint Etienne, w chwili, gdy szef gabinetu wygłaszał mowę swoją, zapowiadając politykę bezwzględnie republikańską.

będzie w teatrze Valle przedstawienie, które urządził Hermes Novelli. Ristori do dziś dnia zachowała, prócz śladów wielkiej urody, wiele prostoty, i obok szlachetnego obejścia i wykwiutnych manier, odznacza się praktycznym zmysłem włoskim, dzięki któremu posiada ogólne sympatje i szacunek. Weryha.

Nowe książki.

Kazim. Morawski. „Julian Apostata“. Kraków, 1901, str. 48. Spółka wydawnicza polska. Cena 60 kop.

Po świętych wizerunkach dwóch cesarzy rzymskich: Tyberjusza i Hadrijana, nakreślił teraz subtelny i wytrawny znawca świata starożytnego przepysany obraz duszy Juliana Apostaty, tego cesarza, który stanął w obronie ginących bogów greckich i rzymskich, a wypowiadając walkę — walkę na śmierć i życie — Chrystusowi i jego wyznawcom. Walka zakończyła się stynnem Galilee ricki! — a bogowie Homera, zwyciężeni ostatecznie, musieli zaplakać nad sobą i swym potężnym obrońcą. Ezymy cesarze mają szczęście do naszych historyków, bo jeśli skreślony niedługo przez Szańskiego „Profil historyczny Nerona“ jest bodaj czy nie arcydziełem autora „Odrodzenia i reformacji“, to niniejszy profil historyczny Juliana Apostaty nieczem mu pod względem świętości charakterystyki psychologicznej nie ustępuje.

Tadeusz Konczyński. „Kajetan Orug“. Dramat. Kraków, 1902, str. 135. Gebethner i S-ka. Cena 1 rb. 20 kop.

Cieszący się stałem powodzeniem w teatrze Rozmaitości w Warszawie dramat młodego autora ukazuje się w tej drukowanej szacie bez skrótów, które musiały być poczynione dla sceny. Jakkolwiek fachowa krytyka przyznała dziełu temu niższość literacką w porównaniu z „Ochłaniami“, to jednak jest to utworz zaszczytnie wyróżniający się wśród naszej literatury dramatycznej ostatniej doby. Najpoważniejszy zarzut, jakoby mu z punktu widzenia artystycznego uczynić można, to brak poezji zarówno w bohaterze głównym, jak w reszcie osobistości. Sam nerw sceniczny nie tworzy jeszcze prawdziwego dzieła sztuki.

J. Laskarys. „Opowiadanie o wojnie Chocimskiej“. Warszawa 1901, str. 270, z 5 rycinami. Nakład i własność Jana Fiszerka. Cena 1 rb. 20 kop.

Sam tytuł najlepiej określa treść książki. Są to opowiadania starego nauczyciela domowego, pana Zareby, który, w chwilach wolnych od ścisłych zajęć, dla zabawy i pożytku swych uczniów, miał zwyczaj opowiadać im o różnych ciekawych i zajmujących wypadkach z dziejów naszej przeszłości. Tym razem przyszła kolej na wojnę Chocimską.

„Kalendarz“ rzymsko-katolickiego Tow. dobroczynności w Petersburgu na r. 1902. Petersburg, in 8-0, str. 180.

Za zwykłą częścią kalendarzową następuje dział literacki, w którym znaj-

+ Sztuka Kisielewskiego „Karykatyry“, grana z powodzeniem na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie, wchodzi na reper-

Redaktor i wydawca Erazm Piltz.

CZYTELNIA

Petersburg, 18 (31) stycznia 1902 roku.

№ 3

„Kraj“

T R E Ś Ć :

KARTY POCZTOWE. Noweleta na czasie, p. W. Kosiakiewicza.

EUGENJUSZ ONIEGIN. Romans wierszem Aleksandra Puszkina, przekład Leo Belmonta. (DC).

ROK 1809. Powieść historyczna przez Wacława Gąsiorowskiego. (DC).

Z CUDZYCH ŁAMÓW. Protest Zagłoby, p. El.

MIECZ I ŁOKIÓ. Powieść z wieku XVII, przez Wiktora Gomulickiego. (DC). DROBIAZGI.

W. KOSIAKIEWICZ.

KARTY POCZTOWE.

Noweleta na czasie.

Drobiazg, który wam dziś ofiaruję, czytelnicy, nie jest bynajmniej nowela, spłodzoną na urząd — konceptem, wysmażonym pracowicie, dla schlebiana rozwiniętej modzie. Co tu podaje — było. Noweleta przyszła gotowa do mnie — ot: nieco tylko surowa i należało ją przyprawić jedynie trochę esów i fioritur literackich. Bo bez tego nie sposób.

Przyniósł mi tę nowelkę mój stryj pewnego popołudnia, stary kawaler, czerstwy jeszcze i dzielny, krzykliwy, kipiący i drażliwy, jak stara panna z prowincji. O nic łatwiej, jak go obrazić. Warto wtedy widzieć jego miny. Rozry się, rzuca, potem ironizuje, potem powołuje się na swoje zasługi dla społeczeństwa (ma je istotnie), potem narzeka na upadek świata i ojczyzny, na zepsucie obyczajów, w końcu zaś zaprasza tego, kto go obraził, na kolację, funduje szampana i w notesie podkreśla sobie czerwonym ołówkiem jego imię. To znaczy, że do końca życia stryj przysyłać mu będzie na imieniny bilet z powinszowaniem.

Jak widzicie oryginał — dość często nieznośny, ale człowiek dobry.

Ja nie umiem z nim rozmawiać, ale go lubię.

Otóż przychodzi on tu kiedyś do mnie — płomienny, jak wulkan.

— Powiedz mi, mój Wicku — od tego zaczyna — czy ty się kiedy w życiu kochałeś?

— Nie zdarzyło się jakoś, stryju.

— To miałeś rację, to miałeś wielką rację. Powiadam ci, te baby...

Tu umilkł w taki sposób, jakby mu dużo słów uwieźło w gardle i jak gdyby tak się tam skłębiły, że groziły mu uduszeniem; twarz mu się bowiem uczyniła purpurowa, a rękami wykonywał ruchy, którym brakło koordynacji.

I kiedy, przestraszony, myślałem, że już się udusi, on, nagle przejęciem, co było właściwością jego natury, pełnej niespodzianek — poprawił się na krześle, zbielał na twarzy i spokojnym konwersacyjnym tonem zapytał mnie, z jakąś przykrą przenikliwością patrząc mi w oczy:

— Więc mówisz, żeś się nigdy nie kochał?

Zrobiło mi się nijako.

— Nie — odrzekłem w strachu, czym go już nie obraził. — Chciałem, zawsze chciałem, ale widać... nie umiem.

— A znasz ty panią Olską?

— Panią Olską? urocą panią Olską?

— Urocą... Stara klempa!

Umilkłem.

On zaś uderzył mnie ręką w kolano, wyrysował obfity gest na powietrzu i rzekł niezmiernie dobitnym tonem:

— Ja ci to powiadam!

Potem znowu mi spojrzal w oczy z tą napastniczą swoją przenikliwością:

— Przykro ci to? he?

— Znam panią Olską...

— Urocą panią Olską — przerwał mi ironicznie — daczegoż teraz nie dodajesz „uroczą“ — co? .. proszę cię, proszę!

— Znam ją mało. Widziałem ją z dziesięć razy w świecie i ze trzy razy u niej...

— Kochałeś się w niej! co?! odpaliła cię, co?!

— Stryju!..

W tem miejscu zrobił się jak baranek i to, jak zawsze: ni ztąd, ni zowąd.

— Nie uwierzysz, co ta baba mi zrobiła! — zaczął tonem konfidencjonalnym i jak człowiek, który pragnie swoje zmartwienie podzielić z drugim, zdolnym go zrozumieć, odczuć, otuchy dodać. — Opowiem ci to, żebyś wiedział, do czego kobiety są wogóle zdolne.

— Oh, kobiety! — rzekłem, potrząsając głową, aby mu zrobić przyjemność.

— Ale ty nie masz pojęcia, co to za naród te kobiety. No, jednym słowem... słuchaj.

— Słucham, stryju.

* * *

— Więc znasz panią Olską... Wiesz zatem, że jest sobie, panie, tego — nawet i bardzo. I ładna, i świeża jeszcze, i szykowna. No, to jej trzeba przyznać, szykowna, jak parzyanka, a ja cenię szyk w kobiecie. Szyk, mój drogi... Ale o tem ci powiem innym razem. Bywałem tam, w ostatnich czasach nawet trochę częściej, ale bez żadnej zresztą złej myśli, daję ci słowo. Olski mnie tam do jakiejś spółki ciągnął, pani była dla mnie grzeczna, ja dla niej dwa razy ditto, ostatecznie, jak w życiu. Tymczasem zdarza się, że na zimę wyjeżdżam do Włoch. Kiedym się z tem wygadał, pani Olska żywo tak jakoś do mnie się zwróciła:

— Pan jedzie do Włoch?

— Tak, pani.

— Kiedy?

— Za tydzień.

— Na długo?

— Na trzy miesiące.

— I dokąd właściwie?

— Właściwie? włóczyć się jadę.

Wenecja, Milano, Firenze, Roma, Napoli...

Uśmiechnęła się do mnie.

— Więc już tylko tydzień będziesz mogli się cieszyć pańskim towarzystwem? Niechże pan choć przed wyjazdem na obiad do nas wpadnie.

— Ależ z największą przyjemnością.

— Co tam «kiedy»—ot, niech pan przychodzi jutro poprostu, dobrze? — Wybornie.

I zaraz potem «tiu-tiu-tiu»—wiesz, jak to kobiety umieją.

Na pożegnanie pocałowałem ją w rączkę. Patrząc, jakoś wcale jeszcze nie wyjmuję białej swej rączki z mojej lapy. Całuję ją więc drugi raz. Jeszcze trzyma. Całuję trzeci. Dopiero wtedy ją wzięła.

Nazajutrz obiad—palce lizać.

A gospodyni?

Ubrała ci cie, powiadam, w jakąś różową suknię z jakiejś takiej lekkiej materji, że zdawało się, jakbyś na nią dmuchnął mocniej, to wszystkie te galanki poleciałyby z niej z wiatrem. Śliczna była—jakby zore z siebie włożyła.

A miła!

I tak ciągle tę swoją białą rączkę blisko mnie przesuwiała w tę i tamtą stronę, że, powiadam ci, ta ręka poprostu wszędzie mi na drodze stała.

Więc ją cmok, cmok, cmok... «A nie chodź po wsi»...

Wtrąciłem w tem miejscu:

— A małż...

— Co? małż, safandula. Nie widzi dalej końca nosa. Zresztą, objędziała go tak, że, powiadam ci, no—drewniany bałwan!

— I nie zazdrosny?

— Porabaciby się dał za nią—odpowiedział stryj z palącą ironją.

— Ale na czemże to ja stanąłem?—wrócił do swojego opowiadania.—Więc tedy cmok, cmok, cmok. «A nie chodź po wsi»... Kiedy odchodzę, pani mówi:

— A może pan jutro do nas na herbatkę?

Dobra nasza—myślę.

Przychodzę jutro na herbatkę—mężusia nie ma w domu.

— Gdzież pan?

— Na sesji.

Znowu cmok, cmok, cmok.

Siadamy.

Dostaję szklankę herbaty. Cmok.

Otrzymuję ciasteczko. Cmok.

— Może nie słodka?

Kawałek cukru. Cmok.

I nagle stryj wybuchł—jak trzęsienie ziemi:

— No, powiedz, czy to jest moralne?

— Co, stryj?

— Jakto, co? Takie nadstawianie lapy obcemu mężczyźnie—na każdym kroku.

— Stryj się na to skarży?

Uspokoił się nagle, jak zawsze.

— Bo ty nie wiesz, do czego to zmierza.

— Czekam właśnie.

— Więc powiadam ci, flirt. Jeszcze jedna herbatka—tym razem z mężem. I jeszcze jedna, znowu bez męża.

Myślę sobie: pal licha Włochy. Zostanę w Warszawie, skoro mi takie słoneczko zaczyna świecić.

Kiedy więc mnie zapytała:

— Którego dnia pan jedzie?

Odpowiedziałem ostro:

— Wcale nie jadę!

— Jakto—wcale?

— A wcale.

I resztę dopowiedziałem oczami.

Na to ona wyprostowała się, powiadam ci, dumna i groźna, jak bogini.

— Pan chce mnie skompromitować—zawołała.

Zglupiałem.

Ale—przyjemnie zglupiałem. Co chcesz: mam, bądź co bądź, włosy prawie już siwe. Jak mi to miało nie pochlebić, że ja skompromitować chcę kobietę. O! one, szelmy, głównie nas na pochlebstwa biorą.

Narazie nie rozumiałem, o co idzie. Ale ona mi wytłumaczyła w paru słowach. Mój wyjazd do Włoch stał się głośnym. Wszyscy znajomi o nim wiedzą. I jej małż... Skoro zostanie, wszyscy krzykną, że to dla niej zostaje. I jej małż.

Trzeba wyjechać.

A no, trudno. Więc wyjeżdżam. Jeszcze jedna herbatka—sam na sam.

Piękna pani prosi mnie, abym o niej stale i wiernie pamiętał.

Przyrzekam.

Nie—przyrzeczenie nie wystarcza. Przysięgam.

I tego zamało.

Piękna pani wymaga, abym z każdego miasteczka, z każdej większej stacji przysyłał jej karty pocztowe. Z widokami—aby mogła sobie zaw sze wyobrazić moje otoczenie.

«Przysyłać będę listy całe.

«Nie, listy nie. To kompromituje. Tymczasem karty—to do niczego nie obowiązują—prosty dowód pamięci.

«Dobrze, więc karty...»

Pożegnanie, uściski rąk, czule—powiadam ci, że niech mnie djabli weźmą, jeżeli jej spojrzenia nie były wtedy czule!

I wyjechałem.

Wyjechałem—niechętnie, bez przyjemności, jedynie dlatego, aby nie skompromitować pięknej kobiety.

Co to była za podróż?!

Zdawało mi się, że mam lat dwadzieścia. W Wiedniu—ją tylko widzę, w Wenecji—o niej tylko myślę, w Weronie—nią tylko żyję, w Brescji—ona mi cały świat zasłania.

— Jednym słowem, zakochał się stryj—wtrąciłem, ponieważ uczynił dłuższą pauzę.

Pokiwał głową.

— Zakochałem się. Tak, zakochałem się, jak stary osio!

— Gdzie tylko przyjadę, zaraz rzucam się na pocztówki, wertuję, wybieram, potem niosę z sobą do hotelu kawałek papieru, niby skarb jaki, i wysyłam go, jak słodkiego gońca, pod zawsze tym samym, lubym adresem.

W ten sposób posłałem *Cento città d'Italia*... Całą Wenecję, Florencję, Rzym, Neapol—i wszystkie arcydzieła tamtejszych muzeów.

Nareszcie wracam...

— Nareszcie wuj wraca...

— I co powiesz? ona wcale nie chce ze mną gadać.

— Jakto?

— Nie rozumiesz?

— Nic a nic.

— Ach! fajt!po! Żeby od razu nie przeniknąć takiej prostej rzeczy. Przecież to jest jasne, jak dzień. Wiesz o co jej chodziło?

— Nie.

— O karty pocztowe!

— O karty pocztowe?

— O nie więcej. Jest zapaloną zbieraczką pocztówek—i to oko, które do mnie robiła—to było takie oko. Widzisz, frycu!

Uczulem się zawstydzony.

Stryj jednak nie miał miny pogrzebionej. Przeciwnie, wyglądał na człowieka, który przygotowuje odwet. Czulem to po ruchach bohaterkich jego rąk, po dumnym przegarnianiu palcami siwej, ale bujnej czupryny.

Jakoż się nie omyliłem.

— Ale to nie—rzekł po pauzie.—Ja babie za to zapłacę.

— Doprawdy?!

— I z nawiazką.

Lypnął złośliwie oczami.

— Wyobraź sobie, miałem dziwne spotkanie w Rzymie. Z kolegą szkolnym—nie widzieliśmy się już lat coś czterdzieści. I on mnie poznał pierwszy—dowód, że znow tak bardzo się nie zmienił, co?

— Oczywiście.

— I wiesz, czem on jest? Inżynierem w Japonji. Buduje tam statki. Że mnie do siebie zaprosił—o to mniejsza. Ale, co ważniejsza, obiecał mi przysłać bilet wolnego przejazdu. Myślałem, że to ot, tak sobie, czule słówka. Tymczasem dziś patrz, otrzymuję bilety—z Port-Saïdu do Jokohamy. No, a do port-Saïdu z Odesy, to już kosztuje bagatelę...

— Więc stryj jedzie do Japonji?

— Jakbyś wiedział!

— Niedługo?

— W tym miesiącu.

— Hm! a urocza pani Olska wie o tem?

— Otóż, widzisz, moja zemsta. Udam, że mnie jej podłość nic nie obeszła, że jej nawet nie zauważył—i, jakby nigdy nic, doniosę jej o mojej podróży do Japonji. Przecież jak jej pokażę bilet okrętowy, to chyba nie będzie podejrzewać zasadzki. Otóż, uważasz, ona robi do mnie czule oko, ja niby nic, — manipuluje mi ręką przed nosem, ja niby biorę to za dobrą monetę, proszę mnie o dowody pamięci, ja — i owszem. No, i zje djabła, jeżeli otrzyma choć jeden. Co? jakże ci się to podoba?

— Wybornie!

— Więc twój stryj nie jest jeszcze takim niedołągą, za jakiego go miałeś, co?

— Ależ stryju...

— I uważasz, jak to babie będą się ślepie świeciły. Karty pocztowe z Konstantynopola, Smyrny, Pireusa, Salaminy, Akropolu, Maratonu, Chereonei, Termopil...

— Szczytne!

— Potem Egipt, piramidy, Teby, a potem uważasz, Palestyna, Galilea, Nazaret, Jerozolima, morze Martwe.

— Wścieknij się!

— Niech się wścieknij. A dalej—Indje, pełne tajemnic i bogactw Indje, Bombaj, Singapur, Ganges... A Chiny, a Japonja. Co? dobrzem pomyślał.

— To było genialne!

— Nieprawda?

W tem miejscu i mnie przyszła idea.

— A ot, co ja jeszcze zrobię — rzekłem — gdy otrzymam od stryja wiadomość, tak, z połowy drogi, pójdę do pięknej pani Olskiej i chwalić się będę nadzwyczajnymi kartami, jakie mi stryj przysyła, co?

Stryj aż podskoczył z radości.

— Dobry z ciebie chłopiec! — zawołał ściskając mnie.

— My, mężczyźni, powinniśmy trzymać się solidarnie.

— Święte słowa. Tymczasem jednak, ten rysunek Leonarda da Vinci, co wisi nad moim biurkiem, a do którego zawsze robisz takie oko—jest twój.

Poczem zaprosił mnie stryj na kolację, na której ogromnie cieszyliśmy się, że «baba będzie miała za swoje».

W dziesięć dni potem spotkałem stryja na ulicy.

Przystanął, nachylił mi się do ucha i szepnął:

— Baba się bierze na robaka!

— Doprawdy?

— Jeszcze jak!

Skurezył się cały z radości. Szepnął:

— Cmok—cmok—cmok... A nie chodź po wsi...

Potem uściskał mi rękę i odszedł rozjaśniony, promieniejący.

W miesiąc potem, spojrzawszy na mego Leonarda da Vinci, przyszło mi na myśl, że stryj musi być już co najmniej w Egipcie.

Ubrałem się więc w surdut i poszedłem złożyć wizytę uroczej pani Olskiej.

Przy pierwszej sposobności zwróciłem oczywiście rozmowę na mojego stryja.

— Jakie cudownie piękne karty otrzymałem od niego z drogi! — zawołałem.

Pani Olska spojrzała mi w oczy—z ironją i może nawet pogardą.

— Czy piękniejsze od tych, które ja otrzymuję?

Podala mi album z pocztówkami. Mój stryj przysłał już jej całą Grecję!

I to jej spojrzenie!...

Nie! Czyżby stryj zdradził nawet tajemnicę mojej usługi, za którą dostałem Leonarda da Vinci?...

Jakże to na to wyglądało jednak. O! mój stryju...

Hm! ostatecznie — my wszyscy jesteśmy tacy.

ALEKSANDER PUSZKIN.

EUGENJUSZ ONIEGIN.

ROMANS WIERSZEM.

Przełożył

Leo Belmont.

21

17.

«Czy to być może? Czy to ona? «Czy oczy mam zasnutę mgłą? «Ze stepów głuchych? Tak zmieniona!...» Natrętnie swych binokli szkło Eugenjusz zwraca w jedną stronę... I widzi, jak przez mgły osłonę Wraz inną, zapomnianą twarz... «A książę! powiedz, czy ty znasz Tę damę?.. z różą na biececie... «Mój hiszpańskim posłem mówi... tam...» Zaśmiał się książę:—Czy ją znam? Ho! znać, żeś dawno nie był w świecie. Chcesz, to przedstawię cię... Wszak... «Lecz kto to?»—Żona moja! «Tak?»

18.

Żonaty-ś?.. Nie mi nie pisano! Dawno?—Już drugi rok. A toć... «Z kim?»—Z panną Laryną. «Z Tatjana?» —Znasz ją? «Sasiadka»—O, to chodź. Książę podchodzi z nim do żony: «Mój krewniak, druh odnaleziony..» W tym duchu rzecze kilka zdań. I oto księżna spojrzy nań... A choć się wszystko w niej wzburzyło, Gdy nagle przed nią stanął on, Lecz zachowała dawny ton, Nic jej wzruszenia nie zdradziło; Ukłon powagę zwykłą miał I wyraz lic spokojem wiał...

19.

I nie pobałda, nie splonęła, Zdziwienia cień nie przebiegł lic, Warg nie rozwarła, nie ścisnęła, Nie drgnęła brew jej... Nic a nic! Próżno wzrok jego szukał wprawno: Nie znalazł śladu Tani dawnej... Chciał mówić—dziwny zdjął go lek: Nie wyszedł z gardła żaden dźwięk. A ona pyta, kiedy wrócił? Czy dawno? zkąd? czy ze wsi już? Potem na męża, co stał tuż, Znużony nieco wzrok się zwrócił... I wyszła z szmerem lekkich szat... On nieruchomy patrzył w ślad.

20.

Czy to w istocie jest Tatjana, Ta sama, co przez cichy sad Szła raz ku niemu pomieszana I leż na rzesach miała ślad, Której moralne lekcje prawil, Którą tam w głuszy pozostawil, Od której chowa liścik ów, Co całe serce w ogniu słów, Co całą duszę jej obnażył? To dziewczę?... Nie! to chyba sen! To dziewczę, które znawca ten Za parafianstwo zlekceważył — To ona!... Zkąd ta pewność, chłód, W rozmowie z nim nieznanne wprzód?

21.

I raut porzucą, pełny gwaru, Do domu zadumany mkniję; Marzenia smutne, pełne czaru, Latają nad nim w późnym śnie. Zbudził się: lokaj list przynosi; W nim książę N. uprzejmie prosi Na wieczór. «Do niej! Boże mój! Z pewnością będę!»—Liścik swój W tym sensie śle... I niecierpliw, Co go udrećca, nie wie sam... Co się ruszyło w głębi tam, W duszy ozięblej i leniwej? Próżności hydra?—gniewu gad? Czy miłość—troska młodych lat?

22.

Liczy godziny na zegarze, Bez końca dłuży mu się dzień. Dziesiąta wreszcie!... Zaprządz każe... Wyjechał — pędzi — wchodzi w sień — Do księżnej idzie na pokoje. Tatjana — sama... I we dwoje Chwil kilka siedzą... Ale znow Oniegin nie znajduje słów... Siedzi pochmurny, nawpół zgięty; Niezręczność każdy zdradza ruch... Ledwie odpowie... Jego duch Upartą myślą jest zajęty; Uparcie patrzy... lecz, jak wprzód, Widzi w niej jeno spokój, chłód...

23.

Mąż wchodzi. Wita Oniegina, Przerzywa krótkie *tête-à-tête*, Eugenjuszowi przypomina Figielki stare... Obaj wnet Śmieją się... Wchodzi szereg gości... Attycka sól światowej złości Sypie się gęsto... Ten i ów Nic lekkich bredni, zgrabnych słów, Wplata bez śmiesznej kokieteryi W ogólnych rozmów lśniący haft; I tka go myśl—bez wiecznych prawd, Bez szumnych zdań, bez pedanterji; Tu się nie wzdryga niczyj słuch Na lekkich rozmów żywy duch.

24.

A jednak był tu kwiat stolicy,
Arystokracji świetny ród,
Niezbędni głupcy, urzędnicy,
Trafiani wszędzie, wzory mód.
Tu były damy złotolice,
W czepkach i różach czarownice;
Z pięć dziewięć brzydkich, jako grzech,
Które nie znały, co to śmiech.
Tu poseł był, co, gdy rozprawiał
O państwie, zwykł podnosić głos;
I zdobny w siwy, wonny włos
Starzec, co grono pań zabawiał
Subtelny zartem dawnych dni,
Z czego dziś nieco świat już drwi...

25.

Tu był na wszystko zły jegomość,
Co epigramy tworzył w mig:
Na gazet fałsz i nieświadomość,
Na płaskość dam, na mężki szyk,
Na przesłodzoną zbyt herbatę,
Na wojnę i na czas stratę
W dysputach o romansie mdłym,
Na śnieg, na wiatr, na fajek dym,
Na swoją własną żonę wreszcie...

26.

Tu był Saburow, co od tłumów
Za podłość wziął pochwalny list;
W tysiącach stępił on albumów
Twoje ołówki, o St.-Priest!
A we drzwiach stał dyktator balów,
Jakby obrazek z mód żurnarów,
Rumiany, jak cherubin, mruk
Z obcisłą talją, rozmów wróg.
Nakrochmalony zbyt pyszałek
Wstrzymany w gościach budził śmiech
Mnogością swych zabawnych cech,
Groźnem wierceniem ocznych galek;
I skrzyżowanych spojrzeń prad
Mieścił milczący o nim sąd.

27.

Lecz mój Oniegin wieczór cały
Spojrzenia ku Tatjanie śle,—
Nie ku dzieweczce tej nieśmiałej
Na skromnem traw zielonych tle,
Lecz ku tej świetnej, chłodnej księżnej,
Owej bogini niedosiężnej,
Co zbiera holdy kornych mas...
O ludzie, ludzie! wszystkich was
Wydała na świat matka - Ewa;
Was nudzi to, co macie wciąż;
I nęci was ku sobie wąż
W tajemniczego liściach drzewa;
Hej! zakazane jabłko daj...
Bez niego rajem nie jest raj!...

28.

Zmieniona do niepodobiestwa!
Zgłębiła rolę swą do dna!
Krepującego dostojęstwa
Wszystkie przepisy świetnie zna!
Zginał dzieweczki ślad nieśmiałej
W owej wspaniałej i niedbalej
Prawodawczyni newskich mód!
I on jej sercem władał wprzód?!
O nim myślała w nocnym mroku,
Za nim tęskniła długie dnie,
Jego widziała w szczęsnym śnie,
I patrząc w gwiazdy z lezką w oku,
Marzyła, że nastąpi czas,
Gdy drogą życia pójda wraz.

*) Miejsca kropkowane zastępują ustępy, wyrzucone przez autora poematu.

Miłość nad każdym wiekiem włada;
Ale na lany młodych dusz
Tak dobroczynnie wiew jej spada,
Jak w polu deszcz wiosennych burz.
Bo w burzach pragnień odświeżane
Dojrzeją serca młodociane,
Potężne życie z biegiem lat
Da słodki owoc, pyszny kwiat.
Ale w czas późny i nieplodny,
Na przelomowym punkcie lat,
Namiętność martwy znaczą ślad:
Tak burze w czas jesieni chłodnej
Kaluże błotne tworzą z łąk
I obnażają lasy wkrąg.

30.

Niestety! Kocha się, jak dziecko,
W Tatjanie dziś bohater mój;
Tęsknota toczy go zdradziecko,
A w sercu wzbiera pragnień zdrój.
I na zwyczaj już nie baczny,
Ku szklanej sieni jej w rozpacz
Podjeżdża niemal każdy dzień;
Za nią ugania się, jak cień;
Już szczęsny, gdy puszyste boa
Zarzuci wkolo ramion tych,
Albo też pułk liberyj pstrych
Przed krokiem jej rozsunać zdola,
Gorąco dotknie ręki tej,
Lub chustkę spadła poda jej.

31.

Choć konaj, zda się, nie łaskawsze
Będą jej oczy... W planach trwa;
U siebie z nim swobodna zawsze,
W gościnie rzuci słówko, dwa.
To ukłon w miarę mu odważy,
To wcale go nie zauważy...
Nie kokieterji jest w tem ślad,
Bo tej nie znosi wyższy świat.
Nie widzi, że Oniegin błędnie,
Lub widzieć nie chce; sadząc z lic,
W suchoty wpadnie; nie a nie
To jej nie wrzusza... Lekki przednie
Radzą mu ludzie i do wód
Ślą go doktorzy... Próżny trud!

32.

Nie jedzie; raczej sam jest w stanie
Przadiadom posłać list, by ci
Już nań czekali... A Tatjanie
To wszystko nie!... (O, sroga pleci!)
On też uparty... ma nadzieję
Na nowe plany i idee.
I śmielszy, gdy w chorobie zleży,
Z łóżka się z piórem w rękę zwleki,
Pisze namiętną epistolę:
Choć zdawna słusznie twierdził sam,
Że papier nie podbija dam,
Lecz położenie niewesołe
Zmogło go... Wierzy mocy słów...
Tu zacytuję liścik ów:

DN

Rok 1809.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Wacława Gąsiorowskiego.

— Wiem, wiem! I nie wątpię!
Macie dowód, że wygadałem się
przed wami z tajemnicą!... Lecz je-

stem zupełnie spokojnym! Wam za-
wierzyłbym bodaj własną głowę.
Mało w naszym rządzie cyrkular-
nym jest tak sumiennych urzędników!

Janka pokręciła noskiem; zdawa-
ło jej się, że może byłoby lepiej,
gdyby pan Tadeusz był mniej skru-
pulatny.

— Tak, tak!—ciągnął dalej Was-
senfeld—byle teraz z tym poborem
skończyć, a potem, co Bóg da!..

— Zapewne!—przytwierdził oschle
Zabielski.—Byle z poborem... cho-
ciaż—dodał niepewnie—sam nie
wiem, co począć?... jeżeli mi pułkow-
nik nie pomoże w tym razie... sam
nie wiem!..

— Cóż takiego?! Do czarta, prze-
cież możecie ze mną zrobić, co wam
się podoba!... Mówcie!..

Zabielski spojrział znacząco na
Janke i rzekł, ważąc każdy wyraz:

— Mości pułkowniku! Nie dlate-
go, abym się uchylał... lecz wypadła
mi ważna sprawa. Na tydzień może
chciałbym wyjechać!

— Gdzie? Dokąd?!

— Niedaleko!.. Zawsze z dzień
drogi, za Ilżę!.. Właśnie za Ilżę, do...
Krzyżanowic!.. Nie do samych Krzy-
żanowic... jeszcze w bok kilka
wiorst!..

Wassenfeld utkwiał swój bystry
wzrok w Tadeuszu. Janka pobladała
zlekka.

— Do Krzyżanowic!.. Pilna sprawa?..

— Bardzo, bardzo pilna!..

— Zważcież, w jakim czasie my-
ślicie!—upomniął pułkownik.

— Otóż ten czas i mnie niewolił!
chcę więc urząd na Molskiego zdać...
tymczasem, a samemu ruszyć w dro-
gę skoro świt!

— No, no! Taki nagły wyjazd!..
przecież to werbunek!.. Nieobecność
twoja może ci w dalszej karierze
zaszkodzić!..

— Pułkowniku! Istotnie... ale co
robić!.. Właśnie dawny komornik
mego... teścia, dobrze mówię... te-
ścia... ma pojutrze wypłacić sumkę
na termin... kilka tysięcy dukatów!..

Pan Tadeusz stropił się nagle i
urwał. Wassenfeld gładził wypukle
czoło i wpatrywał się wciąż w Za-
bielskiego.

— Kilka tysięcy dukatów!.. Pięk-
ny grosz!..

— Tak, panie pułkowniku!—wmię-
szała się nagle Janka.—Musi, bo
przypadnie... wszystko! A jeszcze
niech zawierucha nadejdzie!

— O nią mi nie idzie!—podchwy-
cił różniej Zabielski.—Jeżeli nie zdą-
żę, potem ani myśleć o odebraniu!..

— Zapominasz, burmistrzu, iż te-
raz nawet czas już jest taki, że za-
logom nakazano zdwoić baczność!..

— Molski da sobie radę, nawet
kontent będzie: do odznaczenia spo-
sobność mu się nadarzy!..

— A co?... pan pułkownik—ode-
zwała się znów Janka—pewno do-
pomocze nam!.. Musimy!

— Cha! Niechże i tak będzie!..
Tylko jeden warunek!

— Zgoda. Bodaj dwa nawet!..

— Ze pan pojedziesz sam, a żona
zostanie tutaj... pod moją opieką!..

Zabielski pobladał.
— Janka ma zostać? Ależ, puł-
kownik!..

— Musi zostać!.. Nie bierz mi
tego za złe!.. Zezwalając na twój
wyjazd nagły, czynię odstępstwo od
instrukcji, niechże przynajmniej mam
zakładnika!..

Pan Tadeusz chciał oponować,
lecz Wassenfeld rzekł z naciskiem:

— Wierście mi, iż robię wiele!..
Inaczej nie mogę!

Pułkownik urwał nagle i próbo-
wał na inny przedmiot skierować
rozmowę, lecz ta się nie kleiła. Za-
bielski częstował jeszcze winem.
Wassenfeld pił, trącał się kielichem,
przepijał do Janki, aż w końcu pod-
niósł się ociężale i jął się żegnać.

— Więc jutro, panie burmistrzu,
ruszacie?!

— Ruszam! — powtórzył glucho
Zabielski.

— Darujcie mi ten warunek... ale
dla was wyjdzie na pożytek, bo
wróćcie teraz daleko prędzej... a
gdybyście wyjechali z całym dworem,
kto wie, czyby jaka denuncjacja
nie zmusiła mnie do wystania
pogoni!..

Wassenfeld uściśnął rękę Tadeu-
sza, sklonił się zamaszycie Jance
i wyszedł.

Gdy młodzi małżonkowie znów
znaleźli się sami w alkierzu, Janka
osunęła się bezwładnie na krzesło i
ukryła twarzyczkę w dłoniach. Pan
Tadeusz ukląkł przy niej i jął ręce
jej całować.

— Janus moja! Co tobie!.. Roz-
chmurz się.

— Jedziesz?! — szepnęła Janka
drżącym głosem.

Zabielski porwał się nagle i jął
wielkimi krokami mierzyć izbę.

— Czy jadę? Kochanie ty moje!..
Sam nie wiem!.. Chciałem z tobą
razem... Lecz bez ciebie!.. Nie —
niepodobna! Zkąd mi taka myśl po-
stała nagle w głowie! Nie; ja nie
nie pomogę, nic nie zmienię... nie-
szczęścia nie odwrócę!.. Trudno!
Już zostanie tym austriackim burmi-
strzem!..

— Więc przecucie mnie nie omy-
liło? Myślałeś?!

— Do Warszawy cichaczem
umknąć... aby przedewszystkiem
uprzedzić o groźnym niebezpieczeń-
stwie, a samemu wydstać się z te-
go piekła!.. Janus, daruj mi! Wi-
dzisz, rodzic twój nie pozwalał na-
wet myśleć o przeniesieniu się do
Księstwa. Teraz wolne mamy re-

ce... jeżeli choć nie żyć tam, to
przynajmniej!.. W głowie mi się
mroczy! Nie wiele podobno spodzie-
wać się możemy od przyszłości!..
Iluż jest w tem, co ja, położeniu!..
Przeznaczeniem mojem było wi-
docznie, abym był bezsilnym widzem
nowego najazdu austriaków!.. A
przecież gdyby tam teraz wiedzia-
no o zbierającej się burzy... Kto
wiel!..

W oczach Janki zabłysły gorącz-
kowe ognie.

— Więc pisanie wygotuj i wy-
ślij kogo natychmiast!

— Niepodobna! Tyle zaufanego
nie mam, a gdyby przejeśli list, snad-
nie dojszby mogli autora! Wówczas
zgrabiliby i ciebie i siebie!.. Cha!
Cóż! nie mówmy o tem więcej!..

— Więc jedź bezemnie!—odezwa-
ła się z mocą Janka.

Pan Tadeusz spojrział na szkarła-
tami okrytą twarz żony, na ener-
gicznie zsunięte brewki, na zacięte
jej usteczka—i zdumiał się.

— Jaktó, Janus... bez ciebie?!

— Ja zostanę, poczekam... wró-
cisz!..

— Wróć... zapewne!

— Jedź, jedź, nie zwlekaj!—za-
chęcała drżącym głosem Janka.—
Jeżeli ta wiadomość może tak za-
wazyć, nie wolno się ociągać! By-
leś prędko powrócił!..

— Zdradzę zaufanie pułkownika!..
— Albo ziemię, która nas wy-
dała!..

— Prawda! A jeżeli!.. Nie! Wró-
cę z pewnością! Bóg cię natchnął
myślą pocziwą!

— Czasu... wiele nie potrzebu-
jesz—byleś dotarł do Warszawy...
może do granicy wystarczy?.. A po-
tem wracaj!..

— A gdyby tu zaszło coś?!

— Bądź spokojnym!.. Ja sobie
poradzę. Jest stary Łukasz! Zresztą,
nie nie lękam się o siebie!..

Pan Tadeusz spoglądał z uwiel-
bieniem na Janke. Miał ją za tak
słabą, tak płochliwą, aż oto znajdo-
wał w niej tyle hartu, tyle odwagi!..

Zabielski chciał coś jeszcze mó-
wić, lecz Janka nie dała mu przyjsć
do słowa i natychmiast jąła przy-
gotowywać dla męża zawiniątko,
troszcząc się o każdy drobiazg i
układając plan całej drogi. Uradzo-
no, że pan Tadeusz własnym wóz-
kiem dojedzie do Ilży, a tam dopie-
ro wynajmie konie do Radomia, a
z Radomia do Warszawy.

Janka pobiegła sama wydać roz-
kazy parobkowi—pan Tadeusz zaś
wysunął się do kancelarji magi-
strackiej, w rynku położonej, i tam
jął samemu sobie wygotowywać glejt
na przejazd granicy, mianując sa-
mego siebie Wojciechem Starczyń-
skim, obywatelem obwodu ostrow-
skiego. Kiedy glejt był już upstrzo-

ny pieczęciami, pan Tadeusz na-
kreślił jeszcze kilka słów do Mol-
skiego o tem, że sprawy familjne
niewolą go do wyjazdu na dni kil-
ka pod Ilżę, i że obowiązki swoje
powierza jego, Molskiego, pieczy—i
powrócił do domu.

Pan Tadeusz wahał się jeszcze,
ociągał z wyjazdem. Bał się na-
stępstw swego kroku, bał się o Jan-
kę, bał o przyszłość.

Trómaczył żonie obowiązki, pra-
wił niby o intencjach, które go do
kroku tego skłaniają, a w głębi mo-
że był przygotowanym, aby silniej-
szemu argumentowi Janki ustąpić
i wyjazdu zaniechać.

Lecz, o dziwo, Janka nie wymó-
wiła słowa jednego, mogącego za-
chwiać postanowieniem. Przytwier-
dzała nawet prognostykom o szczę-
śliwym niechybnie powrocie!..

Aż panu Tadeuszowi zrobiło się
przykro.

Po tej tkliwej, przywiązanej Jan-
ce, nie spodziewał się być takiej
oziębłości. Jeszcze był pewien, że
może przy pożegnaniu dostrzeże sil-
niejsze wrażenie, może usłyszy sło-
wo «zostań». Ale w Jance śnać za-
szła nagle a nieoczekiwana prze-
miana.

Gdy Tadeusz ostatni pocałunek
składał na jej czole, zmrużyła po-
wieki i szepnęła:

— Jedź!.. Dotrzyj!.. Powinie-
neś!.. Niech cię Bóg prowadził!..

Pan Tadeusz wzruszony, a bar-
dziej może podrażniony, wskoczył
szybko do wózka. Konie ruszyły
szybko i znikły w mgłach szarze-
jącego poranka.

Janka przez czas jakiś ścisłała
rozpalonym wzrokiem oddalający się
wózek, a potem wróciła ociężale do
alkierzyka i tam padła zemdlna.

II.

Ze ściśniętem sercem jechał pan
Tadeusz do Ilży. Ziab lutowego po-
ranku przejął go wskroś i jakby
zmroził w nim te zapaly, które wy-
rwały go z domowego, a tak nie-
dawno roztlonego ogniska. Przed-
sięwzięcie, zrazu łatwe do wykona-
nia, teraz spiętrzyło się w oczach
jego w rozliczne trudności a prze-
szkody. Lada chwila mógł na pierw-
szej rogatce wzbudzić podejrzenie i
dostać się w ręce zandarmerji polo-
wej. Gdybyż jeszcze miał pewność,
że wiadomość, z jaką jedzie, nie bę-
dzie spóźnioną, że istotnie czynem
swoim odda przysługę!..

Zniechęcenie nurtowało w panu
Tadeuszu. Wyrwał się niepotrzebnie
zgoła. Co tu jego mizerna figura
pomóż lub znaczyć mogła? Kance-
listą był sobie cichym przez tyle
lat—no i działo mu się nie najgo-
rzej. Prawda, dokuczliwą była ta
kancelarja. Jeszcze w urządzie

cyrkularnym lubelskim nieraz brała go ochota z austriakami rozbrat wziąć i uciec bodaj za morza... Ba, kiedy znów i do wojaczki nie miał serca. Kto wie zresztą, żeby się była okazja znalazła!... Był czas nawet, że kiedy mu imć pan Głuski córki bronił, a śluby odkładał, w panu Tadeuszu zbudziła się jakaś desperacka myśl: za Napoleonem wędrować!...

Pan Podhorodeński powstrzymał — i w samą porę! Tamto bodaj rozsądniejsze było, niż dzisiaj!...

Pan Tadeusz wdychał a sapał gniewnie, sobie samemu robiąc wyrzuty. To znów chciał na woźnicę zakrzyknąć, aby do domu nawracał... ale wówczas jawiły mu się smutnie patrzące oczy Janinki, a w uszach dźwięczały mu ostatnie jej słowa: Jedź... powinieś!...

Już dobrze dniało, gdy wózek pana Tadeusza stanął na rynku w Ilży. Zabielski odprawił pacholka do zajazdu, a sam jął przepytwać się leniwie o konie do Radomia. Usłużny żydek wynalazł mu to, czego żądał, prędzej, niż się pan Tadeusz spodziewał. Sznur cały bryk ładowanych stał już na trakcie, gotowy do wyruszenia. Gromada kupców radomskich zbierała się z gorączkowym pośpiechem, byle do domu przed szabasem zająć.

Młody burmistrz ani się spostrzegł, gdy wyrwane mu z rak węzłki ulokowano w wasagach, a za nim i jego samego.

P. Zabielski fukał, srożył się, lecz uległ, choć jeszcze sobie samemu nie wierzył, aby istotnie do Warszawy jechał. Jeżeli nie za Radomiem, to gdzie pod granicą utknął, zatrzymany przez straż, wysumituje się, no i potem, *volens volens* zawróci do Ostrowia. Gdyby był już nawet na taką przeszkodę natrafił, wealeby się nią nie strapił, może radby ją powitał... Trzeba jej było na zabicie w sobie nieznaną mu zgola alteracji, która nurtować w nim zaczęła. Oto zdało mu się, że jakiś dźwięk nieznaną zrywa się w jego piersi i woła nań, że wierzby przydrożne, podmuchem wiatru kolysane, chwieją złodowicami liśćmi, a jęczą na mrozie, że wyglądająca z pod białych puchów ziemia patrzy ku niemu smutna, zczerniała, a z pod zalanymi strzech, pochylonych chat, opustoszałych sadyb sływa doń żal ostry, gryzący.

Pan Tadeusz otrząsnął się zabo-
bonnie i, by myśli odpędzić, spojrzął ku skulonej postaci dziada, siedzącego w kącie bryki, i zagadnął:

— A wy dokąd!...

— Do Radomia, miłościwy panie!...

DCN

Z CUDZYCH ŁAMÓW.

Protest Zagłoby.

Dziedzica Oblegorka spotkała miła niespodzianka. W pobliżu dworu odkryto źródło wody mineralnej, smakiem i zawartością zbliżonej do popularnego «Giesshüblera». Uczyniono w Warszawie analizę wody, uznano za doskonałą i rzytło butelki — tyśiącami — pojawiają się w sprzedaży. Ochrzczono na poczekaniu źródło oblegorskie «Zródłem Zagłoby». Dało to asumpt znanemu poecie K. Laskowskiemu (El.) do zamieszczenia w «Kurjerze Warszawskim» następującego dowcipnego wierszyka:

Na kwaterze u Kmicica
Płonie ogień na kominku,
Gwarem głosów brzmi świetlica,
Służba krząta się w ordynku;
Stoły suto zastawione,
Za stołem kompanja cała...
Imć Skrzetuski przywiódł żonę,
Pani Baśka imć Michała;
Kietlingowie przyszli społem,
Pan Longinus w swej osobie,
Roch Kowalski siadł za stołem
Przy wujaszku, imć Zagłobie;
Jest pan Charlamp z dużym wąsem,
Jest Michałko, pan z Wąsoszy,
Chociaż nieco patrzy z dąsem,
Że się chamstwo tak panoszy...
Lecz w niebieskich herbem cnota,
Chłop z szlachcicem w jednych ławach...

Jedzą... piją, wre ochota
I o ziemskich gwarzą sprawach...
Służba znosi misy z warzą,
Krają dzbany nie *paulatin*,
Jedzą, gwarzą — piją, gwarzą
De publicis i privatim...

Przed Zagłobą misa piwa,
W piwie świeży twaróg sera...
Pan Zagłoba głową kiwa,
Je i czyta w głos «Kurjera».
Czyta: «przegląd», «wiadomości»,
«O czym mówią», piszą w «prasie»,
Nagle krzyknął pelen złości:
— *Veto! veto! veto!* zasię!
— Co to ojeu? — Baśka wola.
— Co wujowi? — Roch się pyta...

Wszyscy dziwią się dokoła,
A Zagłobę aż placz chwytą.
Wreszcie ozwie się z westchnieniem:
— Ot, «doczkałem» się nagrody,
W Oblegorku mem imieniem
Chcą dziś nazwać źródło wody!
Za Burlają ściętą głowę,
Za chorągiew w boju wziętą,
Chcą dziś imię Zagłobowe
Aptekarską mieć przynętą...
Tu zapłakał, lżąc żrenicy
Siejąc brodę mleczno-białą:
— Gdybyż jeszcze z tej krynicy
Chociaż piwko wytryskało,
Ale woda!... — Lypnął okiem
Do Kmicica: — Mój jegomość,
Jeśli trójniak masz pod bokiem,
Daj przepłukać tę wiadomość!

MIECZ I ŁOKIEĆ.

POWIEŚĆ Z WIEKU XVII.

PRZEZ

Wiktorą Gomulickiego.

III.

Wśród ciszy zupełnej powstał Baryczka i z przemową, zwyczajem uświęconą, do towarzyszków się zwrócił. Upomniął w krótkich słowach, że wybory mają być aktem uczuć obywatelskich, niezmaconych żadną postronną, prywatną namiętnością.

Potem podniósł się z miejsca ustępujący burmistrz. Trzymał w ręce dużą księgę, w której były spisane: prawo o wyborach oraz przywileje miasta. Jedno i drugie dał do głośnego odczytania Długoszowi, siedzącemu tuż przy Baryczce.

Wszystkie formalności były już dopełnione.

Nastąpiła głęboka cisza. Starcy, ust nie otwierając, porozumiewali się oczami.

Nagle pociągnęło ich wszystkich słońce — pociągnęła srebrna głowa Drewny, odbijająca malowniczo od krucznych warkoczów Hanusiowych...

Całe grono przebiegła jakby iskra piorunowa. Poczuli natchnienie, o które przed chwilą Ducha Świętego błagali. Serca ich, bijące zawsze zgodnie, szybko się porozumiały.

Cichym szmerem przebiegło przez izbę nazwisko: Drewno...

I zaraz kilku najsędziwszych, z miejsc powstawszy, wyrzekło dobitnie:

— Oto Bóg natchnienie nam zesłał. Drewnę mieć chcemy burmistrzem! Inni podnieśli się również, powtarzając na różne głosy:

— Drewno! niech burmistrzuje... Drewno! Drewno!

Głośniejszy od innych wywoływał to nazwisko Szeliga. A Baryczka mówił do towarzyszków:

— Zaprawdę, on z nas najrozumniejszy, bowiem posiadał mądrość boleści...

Posunęli się całą gromadą do starca, który siedział w zamyśleniu, jakby nie wiedząc, że to o nim mowa. Pod ręce go ujęli, wywiedli na środek — na tron burmistrzowski posadzili.

Ocknął się wówczas, rumieńcem silnym zapłonął. Głowę pochylivszy, głosem cichym wyszeptał podziękowanie.

Podano mu krucyfiks. Osunął się na kamienną posadzkę, ukląkł, i dwa palce na ramionach krzyża położywszy, donośniej już, rotę przysięgi odmawiał:

— Ja, Melchjor Drewno, zdawien dawna naszej Starej Warszawy obywatel, przysięgam Panu Bogu Wszzech-

mogącemu, Najjaśniejszemu Panu Królowi Jegomości i też wszystkiemu Pospólstwu miasta tego: sławy, pożytku, porządku, praw i wolności nadanych bronić, jako najlepiej będę umiał i mógł, z poradą i pomocą Rady. Sprawiedliwość równą wszystkim, tak bogatym, jako i ubogim, sąsiadom i gościom czynić, dobrych miłując i laskawie z nimi się obchodząc, a złych, według ich winy, karząc. Kościołów i szpitali doglądać, sierot i wdów bronić. A tego wszystkiego nie zaniedbam i nie opuszczę dla przyjaźni, bojaźni, darów, nienawiści, gniewu — w czym mi dopomóż, Boże w Trójcy Świętej jedyny i wszyscy Święci Jego. Amen.

— Amen! — powtórzył chór starców, jak jeden mąż.

Po przysiędze, posunęli się wszyscy do Drewny, aby go z kolan podźwignąć, na miejscu honorowym posadzić.

Do siedzącego przystąpił Klemens z Radziwia, burmistrz ustępujący, i wręczył mu uroczyste klucze miasta.

Baryczka zdjął ze ściany łokieć okuty — trzykrotnie uderzył nim w drzwi zamknięte. Stojący z drugiej strony drabant otworzył je na całą szerokość.

Starzec stanął w progu, górując nad tłumem w izbie radzieckiej, iżba bowiem sądowa była o kilka schodków wyżej położona.

— Szlachetnemu i dostojnemu Kołu Ławniczemu, dwudziestu Mężom Gminnym i całej zwierzchności miasta Starej Warszawy! — donośnym głosem zawołał. — Oto z mądrej rozważli ichmościów panów Rajców i z natchnienia Bożego, burmistrzem naszym obrany jest: jegomość pan Melchjor Drewno, mąż uczciwy, rozgłośny, uczony. Niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzyła okrzyk izbca cała.

Dwóch rajców podprowadziło Drewnę do progu. On się kłaniał — tamci znowu krzyczeli.

Potem Drewno poszukał oczami Hanusi. Panienska zbliżyła się do ojca, który był widocznie osłabiony wzruszeniem. Pochylił się do niej, słów kilka do ucha szepnął.

Blade, czarnowłose dziewczę, oczy spuszczone, wyszczebiotało:

— Ociec czyni mnie tłomaczką życzeń swoich — i zwyczajem starodawnym, wszystkich ichmościów panów zaprasza do siebie na bankiet dnia pojutrzejszego.

Na tem zakończył się obiór burmistrza Starej Warszawy w roku Pańskim tysięcznym sześćsetnym siedemnastym.

W dużej, wazkiej izbie, z powalą ostrołukową, nie czerniał już pośrodku wypłowiały falendysz. Zniknęły też ze ścian czarne opony.

Było jasno, wesoło. Potoki światła, płynące z mnóstwa świec woskowych, odbijały się od pogodnych barw gobelinu, na ścianach rozwieszonych. Gobelin przedstawiał «Wiosnę». Pośród drzew, okrytych młodą zielenią, na łące, której trawą przypominała szmaragdowy, mieniający się w słońcu aksamit, nad strumykiem, literalnie «srebrzystym», bo niemi srebrnymi wyhaftowanym — snuły się dziewczęta w lekkich, powłóczystych szatach, zrywając lilje, róże, fioletki.

Przez komnatę przewijała się wstęga biesiadników, błyszcząca podobnymi gobelinowi kolorami. Zwłaszcza niewiasty wyglądały jak kwiaty.

Bogaci mieszczanie we własnych domach lekceważyli ustawę przeciw zbytkom. Tu już nietylko atlas, aksamit i złotogłów, lecz i klejnoty drogocenne iskrzyły się w tunie licznych świeczników. Mieszczaneczki były rade pochwalić się skarbnymi rodzinnymi i roztaczały bogactwo swe, jak pawie lśniące ogony.

Jedynie dziewczęta i matrony blasku od klejnotów nie pożyczały. Pierwszym wystarczały wianki z róż na rozpuszczonych włosach, drugim — wdowie, półżalobne czepce.

Przez wąską komnatę przepływały coraz nowe fale gości: młodzież, ludzie dojrzały i starcy. Wszyscy zatrzymywali się przed portretem Hanusiowym przedziwnej piękności; wszyscy oglądali z zachwytem wspaniałe, jedwabiem wyszywane «szpallery», chwalać je w głos i wartość ich — zwyczajem kupieckim — na dukaty obliczając. W całej Starej Warszawie jeden tylko Drewno «Bogacz» mógł się być na zbytek taki zdobyć. Znawcy porównywali «Wiosnę» z «Potopem», dziedzicznym gobelinem królów polskich, i twierdzili, że ostatniemu w niczem nie ustępuje.

Ta «Wiosna» haftowana uczył Melchjor wiosnę żywą, która w osobie Hanusi w dom jego wstąpiła.

Do izby portretowej, którą nazywano teraz «wiosenną» przytykały z jednej i drugiej strony komnaty przestronne, pełne światła, sprzętów zbytkownych, wydobytego z ukrycia i rozkładającego się z zadowoleniem bogactwa.

W jednej komnacie służba przybierała stoły do bankietu. Przewodził tu i rozkazy wydawał ochmistrz dworu królewskiego, wloch napół spolszczony, który za grube pieniądze zgodził się zestąpić z wyżyn zamkowych na padół mieszczkański. Ale i on to rozszerzał oczy z podziwu, to je mrużył z zadowolenia, widząc, jak niezmierną mnogość kryształów, farforu, naczyń srebrnych, pozłacanych i szczerol złotych wydobywano z wielkich

szaf gdańskich, stojących pod wszystkimi ścianami.

W tej komnacie przygotowywano miejsca dla gości najdostojniejszych, dla patrycjatu staromiejskiego i dla niewiast. Młodzież męzka oraz mniejsi personaci bankietować nie była od tej ani szczuplejsza, ani uboższa.

Po stronie przeciwnej tańczono. Kapela przygrywała hucznie i skocznie. Ale tylko najniecierpliwsi szli w płasy. Stateczni i światowych zwyczajów lepiej świadomi chowali ochotę swą na później.

Choć gościnność domy rozszerza, tu ona sama przez się nie wystarczała. Domy w Starej Warszawie były przeważnie wąskie, rozrastające się bardziej wwyż i wdłuż, niż w szerz. Kamienica Drewnowska należała do największych; i w niej wszakże na jednym piętrze tak wielki tłum gości nie pomieściłby się wygodnie. Szczęściem do Drewny należał także dom sąsiedni. W łączącym oba domy murze wybito duży otwór, ubrano go festonami kosztownego adamaszku i z dwojga średniej wielkości mieszkań zrobiono jedno bardzo przestronne.

Wszystkie okna od czoła stały otworem. Prócz wrzawy zmieszanych rozmów, brzęku srebra i szkła, hucznej melodii «regalów», lały się z nich na cichą, senną ulicę fale zapachów mocnych, odurzających, w których się podówczas nad miarę kochano. Oba domy tchnęły nimi, bo nawet podłoga w sieniach i stopnie schodów były skropione wodą kamforową.

Milczące od tak dawna mury zdawały się wstrząsać dreszczami rozkosznymi. Jak pod ciepłym marcowego słońca wychodzi ze ścian «zamarz» zimowy, tak z tych murów sędziwych występowały na wierzch i ulatniały się zarazki nudy, melancholij, martwoty...

Było wszakże w tem ognisku wybuchliwej wesołości jedno miejsce, gdzie nie śmiano przemawiać inaczej, niż szeptem, gdzie zachowywano się statecznie, powściągliwie, prawie jak w kościele.

Tem miejscem była nieco wgłębiona część izby gotyckiej, gdzie wisiał portret Hanusi. Przed portretem zawsze ktoś stał lub siedział, przyczem po raz tysięczny powtarzali jedni drugim historję cudownego powrotu dziewczeczki.

Z dnia katastrofy Hanusia zachowała tylko pamięć wielkiego blasku i gorąca, a potem głębokiej ciemności i przykrego chłodu. Zapamiętała niewyraźnie i to jeszcze, że ją wieziono przez czas długi, dniami i nocami, przez różne wsie i miasta.

Rozmaitość wrażeń osuszyła prędko jej łzy.

U kresu długiej podróży znajdowało się miejsce bardzo ciche i bardzo piękne. Niezliczone białe korytarze, zaciszne białe komnatki, wielkie białe izby z oknami kolorowymi... Ta białość przezroczysta mieszała się z zielenią i kwiecistością licznych ogrodów, z fioletem gór, wyrastających ścianą zębata na zachodzie.

W ogrodzie, na korytarzach, w komnatkach, w izbach—młode i starsze niewiasty, ubrane szaro, jednostajnie, przemawiały głosem cichym, słodkim, ujmującym.

Powietrze było przejęte kadzidłem, drżące od śpiewu chóralnego, od organowych akordów.

Później dopiero dowiedziała się Hanusia, że jest w klasztorze i że ten klasztor leży daleko, za Krakowem, u samego podnóża Karpat.

Gdy była nieco starsza, objawiono jej nadto, że z woli swego opiekuna ma zostać zakonnica.

Tego opiekuna, który ją przywiózł i w klasztorze zostawił, nazywano «doktorem». Znała go i wielce poważała sama księni. Oświadczył, że Hanusia jest sierotą zupełną, i wypłacił od razu jej posag zakonny. Potem odjechał i przez lata całe nie pokazywał się w klasztorze.

Dziewczętko wyrastało, jak lilja ogrodowa, której przeznaczeniem ozdobić kiedyś ołtarz Bogarodzicy. Żyła jedynie modlitwą, ciszą, zachwytem religijnym. Wszystkimi był dla niej klasztor. Za murami klasztornej widziała świat pełen przewrotności, kłamstw, grzechu. Nie tęskniła do tego świata—owszem, drżała przed nim.

Pamięć lat dziecięcych zupełnie w niej zamarała. Myślała często, że jej rodzice nigdy naprawdę nie istnieli. Może ją przyniósł i na stopniach ołtarza złożył anioł srebrnoskrzydły? Może spadła z chmurki białej, przepływającej nad klasztor? Może obłoczek kadzidla, technicznie róż klasztornych, dźwięk organu, światło gromnic ucieleśniły się pod jej postacią?

Znała już wszystkie praktyki zakonne. Spiewała pieśni łacińskie i rozczytywała się w martyrologjach. Nie obcy był jej nawet ból, jaki sprawia włosienica i dyscyplina.

Z żarliwością, budzącą podziw w starszych towarzyszkach, umartwiała ciało, podnosiła ducha. Z własnej ochoty znosiła posty surowe, sypiała na kamiennej posadzce—probowwała nawet sypać w trumnie.

Dzień jej obłocznym był już naznaczony. Ale właśnie, gdy czyniono do tej uroczystości przygotowania, zjawił się niespodzianie opiekun i żądał wydania dziewczynki.

Ponieważ nie upominał się o wiano zakonne, «matka wielebna» opozycji nie zakładała.

Hanusia powróciła do «doktora», który wydał się jej obcym, jakby po raz pierwszy widzianym. Ale nie czuła przed nim trwogi najmniejszej. On jej powiedział, że rodzice odnaleźli się i że ją do nich powiezie.

Dzieweczce żal było terazniejszości, ale i przyszłość ją zaciekaiała.

Pojechali do Krakowa, gdzie znakomity artysta odmalował jej portret w ubiorze klasztornym.

Z Krakowa udali się do Warszawy.

Ponieważ nagła radość z odzyskanego dziecka mogła być jej ojca zabić, pokazano mu ją najpierw na obrazie.

Potem, gdy jego oczy do obrazu nawykły, a umysł czytaniem ksiąg odpowiednich dość się wzmoenił, «doktor» zaprowadził ją w porze wieczornej do drzwi domu rodzicielskiego.

— Wejdz—rzekł do niej—śmiało a skromnie. Przed obrazem chwilę postój, potem przystap do swego ojca i ucałuj go statecznie, jakbyś go witała po powrocie z krótkiej przechadzki.

Powiedziawszy to, ów człowiek odszedł i więcej się nie pokazał... Hanusia uczyniła, co jej zlecono.

Wszyscy, słuchając opowieści, byli wzruszeni. Ale nikogo ona tak do głębi nie wstrząsnęła, jak pewnego jasnowłosego młodzieńca, który widocznie po raz pierwszy ją słyszał.

Wśród tłumu strojnego, ten młodzieniec wyróżniał się na podziw skromnym ubiorem. Nie miał na sobie żadnego klejnotu; nie miał nawet złotej lub choćby srebrnej zapinki. Odzież jego była czarna, półżalobna.

Twarz młodzieńca pokrywał smutek. Przygaste oczy, zapadłe policzki mówiły o przebytych niedawno cierpieniach. Było widoczne, że zabawy ogólnej nie dzieli, że w tłumie biesiadującym znalazł się z przymusu.

A jednak, gdyby stopniem bogactwa szczęście ludzkie mierzyć, ten młodzian w domu Drewny należałby do najszcześniejszych—może byłby najszcześniejszy.

Wszakże to był Krzysz Dąbek, główny spadkobierca zmarłego przed rokiem Kawki, dziedzic jego kramu i kamienicy, starszy «legier» potężnego domu Burnbacha, a co najważniejsze: tegoż Burnbacha syn przybrany i przyszły dziedzic—choć już nie przyszły zięć, niestety.

Obu im popsuka szyki grasująca w Gdańsku minionej jesieni epi-

demja czarnej ospy. Ona to, na kilka tygodni przed ziemskimi ślubami, zabrała szczebiotliwą Ketchen na trwalsze z niebem zamęczenie...

DCN

DROBIAZGI.

— Wyszedł pierwszy numer pisma satyrycznego pod tyt.: „Chochół“, wydawanego w Krakowie. Rysunków dostarczyli uczniowie krakowskiej Akademii sztuk pięknych. Ilustracje są litografowane; jedna z nich przedstawia, jako „Gejszę“, p. Feliksa Jasińskiego, tańczącego boso w japońskim stroju. Godło „Chochół“ jest trawestacją słów chochoła z „Wesela“ Wyspiańskiego:

«Kto mnie wołał,
Czego chciał?...
Zebrałem się, w com ta miał:
Jestem z miotła
Do roboty,
Będą przykre
Me pieszczoty...
Będę kpił,
Będę drwił,
Będę chłostał, będę prał,
Dość już długo Kraków spał.
Będę prał! Będę prał!...»

Byle sprawiedliwie—i dowcipnie!

— Ely Star, astrolog, zdecydowany wyznawca okultyzmu, przedstawił redakcji paryzkiego dziennika „Matin“ następujący horoskop na r. 1902: „Podczas r. 1902 rząd francuzki będzie zmuszony wyżyć całą swą mądrość, aby nie wprowadzić Francji w wojnę międzynarodową, której celem ostatecznym będzie Turcja. Miesiące marzec i kwiecień będą bardzo niebezpieczne dla ludzkości. Interesy handlowe i przemysłowe ucierpią bardzo podczas tych miesięcy. Wojna Anglii z boerami trwać będzie rok cały, zakończy się zwycięstwem Anglii, ale straszna zaraza powstanie wśród wojska na Przylądku Dobrej Nadziei. Marynarka angielska i niemiecka ucierpią bardzo na wiosnę. Wojsko niemieckie będzie powiększone, pomimo oporu narodu niemieckiego. Przed majem usłyszymy o działalności anarchistów. W Turcji powtórzą się zamieszki. Chrześcjanie będą mordowani tysiącami. Spisek przeciwko sułtanowi zostanie odkryty. Kłopoty finansowe doprowadzą Turcję do kryzysu, który wywoła powstanie. Kilku wybitnych mężów stanu zakończy nagle życie“. Ely Star zapewnia, że więcej jeszcze niespodzianek da nam rok dopiero co rozpoczęty, i że horoskop jego zgadza się z wynikami badań astrologów amerykańskich oraz angielskich. Nie wątpimy ani na chwilę. Któżby „z własnej głowy“ był w stanie coś podobnego wymyślić!

— Prof. Bruner, kierownik działu biologicznego uniwersytetu Butler, w Stanach Zjednoczonych—jak donosi „New-York Herald“ — przepowiada natomiast, że człowiek przyszedł utraci kilka żeber i małe palce u nóg, że mózg rozwinie się i cały korpus rozszerzy się. Człowiek przyszłości będzie żył dłużej, mniej chorował niż obecnie, jego pamięć będzie mogła ogarnąć większą ilość wiedzy, mikroby będą wypione. Rodzaj ludzki będzie równomierniej podzielony pod względem płciowym: przewaga kobiet ustąpi.



Redaktor i wydawca

Erazm Piltz.